

# John Rosen



**F\* A\* C**

---

Tytuł oryginału: FAC

© 1999 by John Rosen  
© 2021 Espadon Publishing Sp. z o.o.

Skład i łamanie: Espadon Publishing Sp. z o.o.

ISBN 978-83-60786-38-3

Wydawnictwo Espadon Publishing Sp. z o.o.  
Warszawa

Książka powstała jako wspólne wydanie Wydawnictwa AiB  
oraz Espadon Publishing Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone

John Rosen

F\*A\*C

Przekład: Tomasz Piwowarczyk

ESPADON PUBLISHING  
W A R S Z A W A 2 0 2 1



# 1

Tom Brooks spoglądał rozwścieczony na flegmatycznego sierżanta. Czuł jak pod koszulką khaki pot spływa mu po plecach, a pachy robią się mokre i cuchnące. Oczy piekły go z niewyspania i z najwyższym trudem panował nad gniewem. Nie był w nastroju na kontakty z aroganckimi podoficerami. Furażerkę Sił Powietrznych przesunął na przód gładko ogolonej głowy, aż niemal oparła się o nasadę nosa, a potem zdjął zapotniałe ciemne okulary, aby sierżant mógł spojrzeć w jego przekrwione oczy. Zmarszczył brwi, tamten jednak pozostał nieporuszony.

– Proszę mnie posłuchać, panie majorze – powiedział podoficer i pochylił się nad swym niewielkim biurkiem, aby jedne papiery przełożyć na inne. – Nie mam tu żadnych informacji o pańskim przyjeździe. Proszę spojrzeć. – Na dowód podniósł do góry plik dokumentów związanych z pozostałymi nowo przybyłymi. – Gdyby rzeczywiście został pan skierowany do 2. Dywizji Powietrznej, dotarłby do nas komplet odpowiednich rozkazów. Tymczasem nie ma nic.

– Tak czy siak – warknął Tom – jak łatwo możecie stwierdzić, jestem jednak tutaj. I chcę się do was dowiedzieć tylko tyle, gdzie mam się udać, żeby wszystko wyjaśnić.

– Niech mnie cholera, panie majorze, ale nie wiem. Pewnie do kadr Drugiej Dywizji. Jak już ktoś, to chyba oni powinni coś wiedzieć.

– Ślicznie, a gdzie się to cudowne miejsce znajduje?

– Jakies dwa kilometry drogą, zaraz naprzeciw lotniska. Duży drewniany budynek. Nie da się przegapić.

– Nie przypuszczam – powiedział wolno Tom – żeby w całym tym natłoku spraw nie cierpiących zwłoki udało się mnie tam podrzucić, przy okazji wysyłania innych panów lotników do miejsc, gdzie ich skierowano.

– Niech mnie cholera, panie majorze, ale nie wiem. Nie wolno mi zezwalać na jazdę służbowymi wozami bez upoważnienia...

Sierżant gwałtownie urwał, gdyż wielka dłoń Toma spoczęła delikatnie na jego barku. Skurczył się pod twardym spojrzeniem przekrwionych oczu, nad którymi ciężko zwieszały się napuchnięte powieki, jak gdyby poczuł dźgnięcie. Wysoki major nachylił się tak, że ich twarze dzieliło tylko pięć, może siedem centymetrów. Poczuł zimne mrowienie i pomyślał, że być może tym razem przesadził. Kiedy nowi oficerowie docierali na lądowisko Tan Son Nhut pod Sajgonem, byli na ogół tak wyczerpani podróżą, że co najwyżej poczęstowawszy go paru kwaśnymi spojrzeniami, bez szemrania znosili to, iż sierżant, w zależności od nastroju, ignorował ich, bądź nimi komenderował. Sierżant zazwyczaj cieszył się z takiego układu ról, miał bowiem wrażenie, że trochę uszczypliwości pod adresem oficerskiej kasty mogło dopomóc w karierze. Poza tym była to kwestia ambicji. Trzeba im było uświadomić, gdzie ich miejsce, inaczej bowiem mogliby zapomnieć, kto naprawdę rządzi w wojskach lotniczych. Z tym facetem jednak mogły być problemy.

– Sierzancie – powiedział łagodnie major. – Przez ostatnie trzydzieści sześć godzin nic tylko włąziłem na pokład samolotu i z niego wyłaziłem. W tym czasie otrzymałem pięć gównianych śniadań, na które złożyły się jakies śliskie naleśniki i tłusta szynka. Bełkotali coś do mnie zaspiani ludzie i ignorowały mnie stewardesy. Jedna godzina czekania zamieniała się w pięć godzin na jakichś kupkach piasku

i skał pośrodku Pacyfiku, gdzie nikt nawet nie poda filiżanki kawy, za to załoga grata znikła Bóg wie gdzie na całe godziny. Nie jestem w specjalnie dobrym humorze. Powiedziałbym raczej, że jestem dość solidnie wkurwiony. Uwiercie w to lepiej, bo mówię ze szczerego serca. Jeśli także wy zamierzacie mnie faszerować gównem, tak wam przykopię w podstawę podwozia, że znajdzie się w okolicach przepony. No więc tak. Jestem dość rozsądnym człowiekiem i nie oczekuję, że dostarczycie mnie do sztabu Drugiej Dywizji, jeśli to rzeczywiście nie po drodze. Gdyby się jednak okazało, że gracie za mną w bambuko i ciężarówka przejeżdża w pobliżu, będę musiał na was zapolować, sierżancie, a dopadnę was na pewno. W ogóle czuję, że powoli wzbiera we mnie złość, a kiedy się już naprawdę wścieknę, lepiej żeby was nie było w pobliżu.

Sierżant w skupieniu rozważył ten komunikat. Był to język, który rozumiał bez trudności.

– Czy może trzeba panu pomóc z bagażami, panie majorze?

Wszystko, byle odrobinę dalej od tej twarzy. Chryste Panie! Jego oddech niemal było widać.

– Nie, sierżancie. Dam sobie świetnie radę. Poczekać tylko tutaj, aż się ze wszystkim pobieram. A gdybyście przypadkiem gdzieś zniknęli, znajdę was i odedrę z was trochę tej buziuchny.

Facet wydawał się dostatecznie zły, żeby to zrobić. Sierżant cierpliwie czekał na powrót majora.

Niebieska ciężarówka sił lotniczych zatrzymała się przed wejściem oficerskiej mesy w Tan Son Nhut. Tom wygrzebał się z kabiny, gdzie ignorował wszelkie próby nawiązania rozmowy ze strony przyjacielskiego nagle sierżanta, i poczekał, aż ludzie na skrzyniach z tyłu podali mu dwie torby. Zerknął raz jeszcze na sierżanta, który nerwowo zasalutował mu z siedzenia dla kierowcy, potem zarzucił torby na ramiona i ruszył do wejścia, wiedząc, że z tyłu odprowadzają go podejrzliwe spojrzenia, co wcale nie poprawiło mu nastroju.

Oba skrzydła drzwi były podparte, a dwie Wietnamki szorowały na czworakach podłogę. Tom rozejrzał się po holu za miejscem, gdzie mógłby bezpiecznie złożyć torby. Przy wejściu do baru znalazł szatnię, w której urzędowała następna Wietnamka w tradycyjnym stroju *ao dai*: szerokich spodniach, dopasowanej tunice, a pod spodem długą, zwiewną spódnicą rozciętą po bokach. Przypominała mu egotyycznego motyla.

– Przepraszam panią, czy mógłbym zostawić tutaj na chwilę moje torby? Nie bardzo wiem, gdzie indziej mógłbym je położyć.

– Oczywiście, sir.

Wymowa odrobinę gardłowa, ale nawet te trzy słowa zapowiadały dobrą angielszczyznę.

Tom zauważył, że cofnęła się odrobinę, gdy ustawiał torby pod ścianą. Cholera! Niezle musiało mu zionąć z paszczy, no i jeszcze odór ciała. Motyl wręczył mu numerek, uważając, żeby nie dotknąć ręki. Schował żeton i wkroczył do baru. W środku było pusto, tylko dwóch Wietnamczyków ustawiało szklanki i kieliszki. Wrócił do holu i poszedł na tył podniszczonego budynku. Była tu jadalnia, wychodząca na oszkloną werandę, także ze stolami. Przy kilku siedzieli mężczyźni

w różnych uniformach: khaki, polowych, kombinezonach lotniczych. Na podłodze leżało zniszczone linoleum, w paru miejscach przez dziury przeglądało drewno.

Tom usiał przy stole i zapatrzył się pośępnie na zakurzone patio. Mały zagajnik brązowawych bambusów sterczał otępiały w skwarze po drugiej stronie małego betonowego placu, po którym uwijały się hałaśliwe owady. Wielkie czarne mu- chy pstrzyły moskitierę. Także i one wydawały się zakurzone. Znienacka pojawiła się kelnerka i spojrzała pytająco.

– Co pan zamówi?

– Wszystko byle nie śniadanie – powiedział Tom. Po oczach zorientował się, że przekroczył granice jej angielszczyzny. – Poproszę hamburgera z czymkolwiek na wierzchu i butelkę piwa San Miguel.

Oddaliła się cicho na małych stopach. Muchy poruszyły się letargicznie, zmu- szone przez jakąś niewidzialną siłę do zespołowej reakcji, a potem na powrót za- stygły. Na skraju betonu leżał na plecach szczur, którego Tom nie dostrzegł wcze- śniej.

Zamyślił się. Powinien rzeczywiście wyjaśnić sprawę z rozkazami, ale do chole- ry, miał cały rok przed sobą. Mówiły po prostu tyle, że zostaje skierowany do szta- bu 2. Dywizji Powietrznej Republiki Wietnamu Południowego. Sprawa tak nor- malna jak to tylko możliwe. Niemal wszystko, co w tym kraju miało coś wspólnego z lotnictwem wojskowym, należało do 2. Dywizji. Malutkim wyjątkiem byli ci, któ- rzy pracowali w zarodkowym Dowództwie Doradztwa Wojskowego w Wietnamie (DDWW). Instytucja ta kilka lat wcześniej wyłoniła się z Grupy Wojskowej Pomo- cy i Doradztwa (MAAG), znacznie od tego czasu przybrawszy na rozmiarach. Wed- le wiedzy Toma, teraz, w styczniu 1964 roku, większość z ponad jedenastu tysię- cy Amerykanów, którzy przebywali w Wietnamie, skierowana została do DDWW. Wydawało się, że co najmniej połowa z nich znajdowała się na wietnamskim lą- dowisku w Tan Son Nhut.

Nadjechały burger oraz piwo i spoczęły na stole obok rachunku; kelnerka znik-nęła. Tom zastanowił się, czy w klubie przyjmują amerykańską forszę, nie przepro- wadził bowiem żadnych przygotowań związanych z podróżą, a między innymi nie wymienił zielonych na miejscową walutę. Nawiasem mówiąc, zupełnie nie wie- dział, jak się nazywa to, czym się tutaj płaci.

Przy jednym ze stołów na werandzie gruchnął głośny śmiech, Tom jednak żuł metodycznie i wpatrywał się uparcie w moskitierę, za którą mały ptak bez specjal- nego entuzjazmu zaczął dziobać zdechłego szczura. Dlaczego u diabła 2. Dywizja Powietrzna poprosiła o pilota myśliwców taktycznych? W całym kraju było raptem kilka dywizjonów myśliwców i gdyby miał się znaleźć w jednym z nich, rozkaz wyraźnie by to stwierdzał. Jasna sprawa, że nie mogło chodzić o robotę sztabową. Nie po szesnastu latach siedzenia za sterami wszystkich niemal myśliwców tak- tycznych, jakie się pojawiły w siłach lotniczych. Z drugiej strony, po co dowódcy Drugiej Dywizji, jedynej formacji w siłach lotniczych, która podejmowała operacje bojowe, byłby major, którego raz już zgłoszono do awansu na podpułkownika? Kiedy dookoła miał pełno postrzeleńców i zawadiaków, którzy aż się palili do ak- cji.

Tom żuł w roztargnieniu nadpieczonego sandwicha i ponuro rozmyślał nad swoją przyszością. Jeszcze jedna odmowa awansu i koniec. Szesnaście lat służby,

powiedzmy siedemnaście, zanim zbierze się instancja opiniująca, spuszczone do klozetu. Zwolniony z czynnej służby z powodu braku postępów.

Burger i piwo ukoili nieco jego wzburzony żołądek, w którym nad Pacyfikiem zaległo zbyt wiele kiepskiego ciasta. Przypomniał sobie daty. Rada promocyjna zbierze się w sierpniu. Realistycznie należało przyjąć, że ma przed sobą siedem miesięcy, zanim spadnie topór. Niewiele było powodów do optymizmu; z rozmów po pierwszej porażce wynikało, że za drugim razem nie będzie inaczej. A co potem? Za stary na lotnictwo cywilne, a przez całe dorosłe życie nauczył się jedynie pilotowania myśliwców. Jak do cholery mogło do tego dojść? Niewiele przydarzyło się po drodze okazji do, jak to ujmowano, poszerzenia ścieżki kariery, jeśli nie liczyć mało interesujących poczynań na poziomie dywizjonu, które proponowano w charakterze nagrody za niejaki zasługi lotnicze. Żadne prawdziwe łakocie, no ale był także po temu powód. Zastanowił się, czy cofną go po odmowie awansu, czy dadzą dokończyć roczną turę. Co za różnica?

– Tom? Tom Brooks?

Jeden z mężczyzn, którzy opuszczali właśnie werandę, zatrzymał się i wpatrywał w niego z niedowierzaniem. Natychmiast go poznał. Po wspólnym zakończeniu kursu pilotażu należeli do tej samej grupy w szkole artyleryjskiej, a potem latali na Sabre'ach w tej samej jednostce w Korei. Po wojnie znowu się spotkali w dywizjonie skośnoskrzydłych F-86 w Kalifornii. Tamten jednak załapał się na podpułkownika, zauważył Tom.

– Cal Upshaw! Co ty tu robisz? Siadaj no tutaj i wstaw mi parę kitów.

Uścisknęli dłonie i usiedli, uśmiechając się do siebie. Tom podniósł butelkę w pytającym geście, ale tamten zamachał rękami.

– Nic z tego, stary. Za godzinę startuję. Sądząc z tego, jak wyglądasz i pachniesz, niedawno zszedłeś na ląd.

Tom spojrzał na swój przepocony i wygnieciony mundur.

– Racja. Dotarłem tutaj godzinę temu. Gratuluję srebrnych listków.

Cal wydawał się zakłopotany, zauważywszy złote oznaki majora.

– Hej, daj spokój. Następnym razem i ty się załapiesz.

– Jasne. Nie ma sprawy. Zaraz start, mówisz? A czym lataasz? Zobaczyłem na płycie parę F-100 i RF-101. Dosiadasz teraz jedną z tych ślicznotek?

Cal znowu wydawał się zakłopotany.

– Wierz czy nie wierz, ale jestem dowódcą C-123.

Tom spojrzał na kolegę z takim zdziwieniem, jak gdyby ten przyznał się właśnie do współżycia z siostrą. C-123 był samolotem transportowym, co więcej, jednym z najwstrętniejszych transportowców, jakie kiedykolwiek zbudowano. Zaprojektowany oryginalnie jako ciężki szybowiec, został potem przez jakiegoś pomysłodawcę inżyniera wyposażony w silniki gwiazdowe i zaproponowany siłom lotniczym jako maszyna towarowa krótkiego zasięgu.

– Jak cię w to wrobili? – spytał Tom takim tonem, jak gdyby chodziło o śmierć bliskiej osoby. Zresztą istotnie wyglądało to na dramat: przesiąść się z myśliwca na jakieś wielosilnikowe monstrum.

Cal miał minę chłopka, którego przyłapano na podglądaniu babci.



– Wiesz, na wiosnę ubiegłego roku skończyłem szkołę dowodzenia i wtedy w Maxwell zjawili się ludzie z kadr USAF, żeby porozmawiać o przydziałach. Mówili, że jak trochę polatam na wielomotorowcach, poszerzy mi się ścieżka kariery.

„Pieprzona ścieżka kariery”, pomyślał z irytacją Tom.

– No to pomyślałem sobie – ciągnął Cal – że jak ma mi to pomóc do pułkownika, mogę się trochę pomęczyć. Latamy wszędzie, a żyjemy trochę obok Sajgonu i bazy. Rozumiesz, to nawet ciekawe, zobaczyć, jak sobie radzą inni.

– Super, a jak jest naprawdę? – spytał Tom.

Cal milczał przez długą chwilę, a potem powiedział z westchnieniem:

– To bagno. Wolałbym już prowadzić pieprzony autobus. Nie rozumiem, jak ludzie mogą to wytrzymać przez dwadzieścia lat. Dałbym sobie uciąć lewą rękę, żeby tylko wrócić na myśliwca. Wiesz, co to, kurwa, znaczy, jak siedzę między tymi kolesiami od boju i zwiadu, oni widzą mój kombinezon, ale potem włożę na pieprzoną wannę pełną rupiecia? Cholera! To żadne latanie! Zupełnie jakbym prowadził starego pickupa podciągniętego ojcu. No, ale trzy miesiące i mam to z głowy. Powiedziałem już tutaj ludziom z kadr, że jak nie przeniosą mnie do eskadry myśliwców, po powrocie do domu narobię im niezłego bigosu. No dobra, a co tobą? Co wymyślili dla najlepszego na świecie pilota?

– Daj spokój. Dostałem przydział do sztabu Drugiej Powietrznej, ale jakoś wygląda na to, że nikt tutaj się mnie nie spodziewał. Być może, jak się wszystko wyjaśni, wsiądę w najbliższego grata i polecę z powrotem.

– Przy takim przydziale to może znaczyć wszystko – powiedział Cal i zerknął na zegarek. – Wiele się tutaj gada, że będzie silne amerykańskie wzmocnienie, ale kto to wie. Może usadzą cię gdzieś sztabie. To może pomóc, jak się zbierze rada promocyjna. Słuchaj, zaraz muszę się zbierać. Przecież nie można pozwolić, żeby w Long Vinh nie mieli sobie czym dupy podetrzeć, nie? Jak jeszcze będziesz tu wieczorem, zajrzyj do baru, przekręcimy to lub tamto. Drugą masz zaraz tutaj na lewo. Duży, walący się barak, tuż obok przyczepy dowódcy i jego chłopaków. Coś ci może pomoga. Fajnie znowu cię zobaczyć, Tom. Dobrze byłoby spotkać się wieczorem.

Uścisnęli sobie ręce. Tom odprowadził wzrokiem sylwetkę kolegi, a potem znowu zapatrzył się na szczura na patio. Czuł się przygnębiony opowieścią Cala. Chryste! C-123. Ale to musiało być gównem! Wyciągnął palec i szybkim ruchem zrzucił muchę ze stołu. Gekon przyglądał się temu ze ściany z profesjonalnym zainteresowaniem, w błonach łap białeły zeszywniałe jakby palce. Ptak poniechał zdechłego szczura, który coraz wyraźniej puchł w upale. Tak czy owak, musiał zabrać się do wyjaśniania swojej sprawy. Zostawił torby, obiecując wietnamskiej szatniarce, że zaraz po nie wróci. Nadal starała się trzymać z dala od niego. Najwiśdziej nie pachniał ani odrobinę lepiej.

Sztab Drugiej Dywizji rzeczywiście można było łatwo znaleźć. Na froncie jednopiętrowego budynku był nawet znak. Zgodnie z informacją Cala, z boku stały zaparkowane mieszkalne przyczepy dowódcy i jego ludzi, wszystkie z klimatyzacją, tak jak bar. Wszędzie indziej w oknach były żaluzje. Asfaltową drogą przed budynkiem sztabu płynął nieprzerwany strumień dżipów i ciężarówek. Większość prowadzili Amerykanie; z rzadka zdarzył się za kierownicą Wietnamczyk. Zaku-

rzonym poboczem pojedynczo i grupkami szli mali mężczyźni o brązowej skórze, najwyraźniej nieczuli na upał, który Toma wprawiał nieomal w letarg.

Nagły ryk kazał mu się obejrzeć: zobaczył, jak startują F-100. Były na tyle blisko, że dostrzegł wypełnione zasobniki bomb pod skrzydłami. Spoglądając, jak szybko się oddalają, nagle poczuł się zagubiony i samotny; załała go rozpaczliwa niemal chęć, by siedzieć za sterami jednego z szybkich odrzutowców. Opędził się od tych myśli i wszedł do środka.

Przyjemnie było zejść wreszcie ze słońca; na kilka chwil zatrzymał się w holu, aby oczy przyzwyczyły się do półmroku. Kiedy mógł już odczytać tablicę, dowiedział się, że kadry znajdują się na piętrze. Pokonawszy schody, zobaczył, jaki jest wykończony. Był na nogach od czterdziestu ośmiu godzin i to dawało o sobie znać. Na podeście musiał przystanąć i złapać oddech, zanim podążył korytarzem do biura.

Zewsząd dochodził klekot maszyn do pisania, urzędnicy w mundurach zielonych i khaki poruszali się z takim ożywieniem, jak gdyby od ich poczynań zależał los Armii. Widok ten jeszcze bardziej przygnębił Toma. Zegar nad głową informował, że jest 11:30 lub 04:30, w zależności od tego, który wybrało się zestaw wskaźówek. Te nastawione na 04:30 powinny były podawać czas Greenwich, ale Tom nie mógł tego zweryfikować na swoim czasomierzu, którego informacje przestały mieć jakkolwiek zrozumiały sens w okolicach Wake Island, gdzie zaserwowano mu czwarte z rzędu śniadanie. Po drodze minął też gdzieś międzynarodową granicę daty, co znaczyło, że było albo jutro, albo wczoraj. Wyczerpane półkule mózgowe Toma były poważnie narażone na przeciążenie. Czynny pozostawał jedynie prymitywny pień mózgowy, czujnie rejestrując możliwe zagrożenia.

Ruszył w kierunku porucznika w okularach, którego głowa zwisała nad plikiem papierów. Ruchem wycieńczonego matadora przepuścił obok siebie napakowanego sierżanta sztabowego i wreszcie zastął przed biurkiem porucznika. Przez chwilę wpatrywał się w czubek jego głowy, a potem zakaszła. Oficer poirytowany uniósł wzrok, ale już w następnej chwili zaczął się podnosić; wściekłość w zaczerwienionych oczach najwyraźniej zrobiła na nim wrażenie.

– Mogę w czymś pomóc, panie majorze?

– Jak jasna cholera – odparł Tom, podając kopię swych rozkazów. – Z tych papierów wynika, że powinienem stawić się tutaj, tymczasem sierżant przyjmujący żołnierzy na lotnisku oświadczył, że nie ma o mnie żadnych informacji.

Porucznik wziął rozkazy i gestem zaprosił Toma, żeby usiadł. Ten powoli osunął się na krzesło. Zdegustowany zobaczył, że cały przód koszuli jest przepocony na wskroś, co znaczyło, że na jego ciele przybyła kolejna warstwa soli. Porucznik przeprosił i oddalił się w drugi kąt sali, gdzie zaczął buszować w kartotece. Tom pomachał przed twarzą czapką, co niewiele dało. Porucznik powrócił w dużą teczką.

– Wszystko jasne, panie majorze. Ma pan przydział do IV Korpusu. Tak nawiasem mówiąc, to w Delcie Mekongu. Sztab stacjonuje w Can Tho, ale raczej wyślą pana do którejś z podległych im jednostek. Zwykle tak robią. Zaraz. Widzę, że ma pan pełnić funkcję FAC, to jest wysuniętego kontrolera powietrznego, a o znaczy, że przed wyjazdem musi pan odbyć tutaj rozmowę z dowódcą operacyjnym. Dzisiaj jest w Danang, więc musi pan zaczekać do jutra. To nie zaszkodzi, bo będzie pan mógł załatwić wszystkie drobiazgi związane z przyjazdem i pobrać ekwipu-

nek polowy. Poza tym wydaje się, że przyda się panu kilka godzin snu. Przelot tutaj to niezła mordęga, prawda?

Potrwało kilka chwil zanim zamglony umysł Toma przetrawił otrzymane informacje.

– Zaraz, chwileczkę. Powiedzieliście, poruczniku, wysunięty kontroler powietrzny?

Tamten przytaknął.

– O, nie, coś tutaj trzeba wyjaśnić, zanim sprawy zajdą za daleko. Nie jestem żaden FAC. Nie mam do tego żadnych kwalifikacji. Od szesnastu lat latam na myśliwcach i nigdy nawet nie siedziałem koło FAC. A wy mi teraz mówicie, że mam zostać kimś takim?

– Obawiam się, że tak, panie majorze. Jak się tutaj mówi: „Tak się porobiło”.

Uśmiechał się porozumiewawczo do chwili, kiedy zobaczył jak dłonie Toma zwijają się w pięści. Twarz majora pociemniała pod opalenizną, a nos niewątpliwie złamany zaczął, jak się wydawało, żyć własnym życiem. Porucznik spieszenie próbował załagodzić sytuację.

– Tutaj zawsze tak się dzieje, panie majorze. Wszystko jest tak popieprzone, że kiedy zjawi się ktoś, kto choćby w połowie nadaje się na jakieś stanowisko, już na nim jest, zanim zrozumie, co się stało. Ostatecznie nie jest aż tak źle. Niech pan spojrzy na mnie. Zjawiłem się tutaj jako oficer komunikacyjny, ale tych mieli już pod dostatkiem, a brakowało im kogoś do przekładania papierków. Więc wylądowałem tutaj. I nawet nie żałuję; to ciekawe, zobaczyć to gównu od środka. W instrukcjach i regulaminach są takie rzeczy, że nigdy bym...

Tom przerwał mu ostrym ruchem ręki.

– Posłuchajcie, poruczniku. Jestem taki skołowany, że nie bardzo potrafię o tym myśleć. Skoro i tak mam jutro rozmawiać z operacyjnym, jego złapię za gardło i spróbuję wszystko wyprostować. Teraz jest ważne jedno: kto może mi wskazać miejsce, gdzie mogę przyłożyć głowę do poduszki?

– Zadzwoń do biura DO, to na parterze, i umówię pana. W barakach naprzeciwko klubu oficerskiego są pokoje gościnne dla oficerów. Wie pan, gdzie?

Tom skinął głową i słuchał, jak porucznik ustala na jutro, na 10:00, rozmowę z dowódcą operacyjnym 2. Dywizji Powietrznej. „FAC”, pomyślał. Co on wiedział o kontroli powietrznej? Nie wyglądało to najlepiej. Jeśli jednak nazajutrz dobrze się postawi w rozmowie, może uda się znaleźć jakieś lepsze rozwiązanie. Jeśli DO okaże się rozsądnym człowiekiem, może przystać na to, aby przydzielić Toma do jednej z eskadr myśliwskich, które właśnie zaczynały napływać. Do diabła, może się zgodzić chociażby na Skyraidera A-1, nawet gdyby miał to być dwudziestoletni grat. Nieoczekiwanie poczuł przypływ optymizmu.

Kiedy się zbudził, za oknami było już niemal ciemno. Trudno było nazwać to snem, raczej zapaścią po nokaucie. Gdyby nie zmęczenie, być może nie zmrzyłby oka, albowiem pokoje gościnne umieszczono tak blisko głównej drogi, że pojazdy huczały ledwie o kilka metrów od jego metalowej pryczy. W długiej sali unosiła się niebieskawa mgiełka spalin. Ustawiono tutaj jakieś trzydzieści łóżek podobnych do tego, na którym zaległ. Nieustannie ktoś wchodził i wychodził, Tom zaś kilkanaście razy wyrwany był ze snu, w który z powrotem ściągało go zmę-

czenie. Przenikliwe wietnamskie głosy splatały się z warkotem pojazdów, kiedy sprzątaczkę przesuwano między śpiącymi Amerykanami z długimi miotłami. Język sprawiał wrażenie, iż nieustannie krzyczą na siebie.

Odszukał prysznic; wykapany i ogolony opuścił go z uczuciem niemal świeżości. Podczas snu zniknął gdzieś wybrudzony mundur. Może jedna ze sprzątaczek uznała, że został odłożony do prania. A może po prostu sobie wzięła. Tak czy owak nie było się o co martwić. Ubrał się w czyste, chociaż pomięte khaki i poczuł natarczywą pustkę w żołądku. Kilka drinków, kęs jakiegokolwiek mięsiska pozwoliła się z tym uporać. Potem może następne dziesięć godzin snu, a wtedy, kto wie, będzie potrafił stawić czoło DO.

Klub oficerski doznał metamorfozy. Bar oblegały trzy rzędy popijających mężczyzn, a błękitnawa chmura dymu papierosowego zawisła nad salą. Doświadczone oko natychmiast rozpoznało podziały, które najpewniej umknęłyby spojrzeniu cywila. Na drugim końcu baru skupili się piloci myśliwców i zwiadu, niektórzy w kombinezonach, inni w pstrokatych strojach cywilnych. Piloci transportowców rozsiedli się przy stołach lub zebrali przy nich w niewielkich grupkach. Większość miała na sobie zielone mundury polowe, chociaż było też kilku po cywilnemu. Byli starsi od pilotów myśliwców i zachowywali się bardziej statecznie. Odziani w khaki lub w uniformy polowe mądrale sztabowi zajęli miejsca przy bliższym skraju baru. Ci byli prawdziwie stateczni; często spoglądali z irytacją w kierunku, skąd dobiegały nazbyt hałaśliwe okrzyki. Między grupami widać było pojedynków oficerów piechoty i cywilów w konformistycznych garniturach. Toma instynktownie ciągnęło do ludzi z pierwszej grupy, pozostał jednak z boku. Nie należał do ich bractwa i dobrze wiedział, że każda próba włączenia się doń zostanie odrzucona. Na dobrą sprawę sam nie wiedział, gdzie należy. Zbierał się do wyjścia, kiedy usłyszał okrzyk Cala.

– Ej, Tom! Chodźże tutaj!

W zawieszonym obłoku dymu zobaczył rękę machającą do niego od jednego ze stolików, przy którym oprócz Cala siedziało jeszcze trzech mężczyzn. Kiedy podszedł, jeden z nich powstał.

– Bierz moje miejsce. Ja i tak muszę się zmywać.

Nastąpiła prezentacja i uściski dłoni. Kiedy formalnościom stało się zadość, wszyscy usiedli. Obaj towarzysze Cala mieli pod czterdziestkę; major i podpułkownik. Rzecz jasna okazało się, że wszyscy latali w jednej eskadrze.

– Powiedz – rzekł Cal do Toma z uśmiechem, gdy ten zamówił już szkocką z wodą. – Jak minął ci pierwszy dzień? Wiesz już, co będziesz robić?

Tom wzruszył ramionami.

– Chcą mnie zrobić wysuniętym kontrolerem powietrznym gdzieś w Delcie, ale mam jutro rozmowę z DO 2. Dywizji Powietrznej i spróbuję to odkręcić. Może znajdzie dla mnie miejsce w eskadrze F-100, lub chociaż A-1, jeżeli mu powiem, że moja wiedza o FAC sprowadza się do znajomości nazwy.

– Byłoby świetnie, gdyby udało ci się wymienić rozkazy. Służba FAC gdziekolwiek w tym kraju to nic przyjemnego, a w Delcie to już przerypane. Nie wiedziałem, że szkolili cię na kontrolera.

– Bo nie szkolili, do pioruna – zaśmiał się Tom. – Właśnie dlatego sądzę, że uda mi się to zmienić. Wiem, że parę lat temu zaczęli wysyłać pilotów myśliwców do

brygad Armii, ale biorą przecież tylko ochotników, do których oczywiście nigdy nie należałem. Któż chciałby zgrywać wojaka i srać w lesie jak niedźwiedź? Wysyłają ich co prawda tylko na rok, a ci, którzy tam trafili i wrócili do dywizjonu, mówią, że za wyjątkiem jeżdżenia dżipem po zachwaszczonych okolicach i odgrywania świetnie zorientowanych, gówno robili. Armia dała im wóz z radiostacją i sierżanta, by mniej więcej raz w miesiącu ruszyli w teren i przez kilka dni pobawili się w żołnierzy. Twierdzą, że wszystko to były jakieś jaja.

– Wiesz co – z wolna zaczął Cal. – Sądzę, że robią tam jednak trochę więcej. Nie wiem o wszystkim, ale słyszałem, że latają na Bird Dogach – tych malutkich Cessnachs, które Armia nazywa L-19, a Siły Powietrzne O-1. Słyszałem też, że są przypisani do określonego obszaru czy konkretnej jednostki, albo coś jak to. Odpowiadają za odnajdywanie i oznaczanie celów dla maszyn bojowych. Kontrolerzy cieszą się dużym poważaniem u pilotów myśliwców, a sam wiesz, jak ciężko wykrzesać z siebie odrobinę szacunku takim zadufanym w sobie dupkom, jak my.

Choć zasiadający obecnie za sterami transportera Cal służył w drogówce powietrznej, niezmiennie uważał się za pilota myśliwca. „Tak jak i ja” pomyślał Tom.

– Tak czy inaczej – ciągnął Cal. – Wymiana rozkazów to nie najgorszy pomysł. W tym interesie niezwykle łatwo dać sobie odstrzelić dupę. Jeżeli jednak faktycznie przeznaczyci dla siebie tę pracę, z pewnością wyślą cię na szkolenie. Wiem, że jeden taki kurs trwa teraz w Hurlburt Field na Florydzie. Byłem w tej bazie, gdy przerculali mnie na C-123.

– Dlatego nie jestem tak bardzo zmartwiony. Nie sądzą, by DO pozostawił to tak, jak jest, skoro się połapie, że nie wiem o tym zupełnie nic. To byłby nonsens. A przy okazji: kto jest DO Drugiej Dywizji?

– Powinieneś go znać. To stary pilot myśliwca, choć nie pracowaliśmy nigdy razem. Twardy sukinsyn, jak zewsząd słyszę. Pułkownik Jackson Jones.

Mniej by wstrząsnął Tomem strzał w głowę. Jezu! Jack Jones! Tom był już trupem. Nerwowo zerknął przez ramię, spodziewając się zobaczyć za plecami szarżującego pułkownika.

– Co jest, Tom? Wyglądasz nieszczególnie. Jeszcze drinka?

– Tak – wy dobył z siebie Tom. – Jeszcze dwa.

Kanciaste, twarde krzesło w korytarzu przed biurkiem pułkownika Jonesa robiło się niewygodne, i Tom znów zaczynał się wiercić. Większość nocy strawił na tej właśnie czynności, gdy jego wyobraźnia wciąż odtwarzała tę samą scenę upokorzenia pułkownika Jonesa, będącą zarazem początkiem problemów Toma. Główne role grali zatem major Jones i kapitan Brooks.

Linda Jones rozpoczęła swój niewinny flirt wkrótce po rozpoczęciu przyjęcia eskadry. Pojawiła się bez męża, którego, jako oficera operacyjnego, zatrzymały jakieś rutynowe sprawy. Tom byłby jednym z niewielu kawalerów obecnych na przyjęciu i zamierzał na nie wpaść jedynie po to, by zaraz się urwać i poszukać w Tampie bardziej odpowiedniego dla siebie miejsca. Minęła godzina opróżniania szklanek i jak dotąd po majorze Jonesie nie było śladu, Linda natomiast rozglądała się po okolicy okiem wytrawnego myśliwego. Tom obserwował zafascynowany, jak z każdym drinkiem jej dekolt wędruje nieco niżej na imponującym biuście.

Traf chciał, że major Jones, przybywszy w towarzystwie dowódcy dywizjonu oraz oficera zaopatrzeniowego, wybrał drogę przez patio, by obejść basen i uniknąć uciążliwego spaceru zatłoczonym parkingiem. Gdyby był sam, dałby się pewnie udobruchać przeprosinami i incydent zakończyłoby najwyżej kilka ostrych zdań. Trzech mężczyzn idących wzdłuż basenu ujrzało za stanowiskiem ratownika parę w objęciach. Kobieta była naga od pasa w górę, a jej partner obiema rękami ugniatał jej piersi. Być może tożsamość kochanków nie wyszłaby na jaw, gdyby oficer zaopatrzeniowy, z charakterystycznym dla swej kasty brakiem obycia towarzyskiego, nie włączył latarki i nie oświetlił dyszącej pani Jones oraz zasapanego Toma.

Nastała chwila złowrogiej ciszy, podczas której nikt nie wykonał najmniejszego ruchu. Wreszcie dowódca dywizjonu rzekł doradczym tonem: – Naprawdę powinieneś już puścić piersi Lindy, Tom.

Oczywiście państwo Jones zniknęli natychmiast wśród szlochów i złorzeczeń. Dowódca dywizjonu udzielił Tomowi kilku rad nie dających się odrzucić, oraz wymógł na oficerze zaopatrzeniowym przyrzeczenie wiecznego milczenia. Wieczność trwała do chwili, gdy ta przerośnięta tłusta małpa znalazła się w zatłoczonym klubie oficerskim.

Tom stał się powszechną atrakcją. Po przeniesieniu do Arizony w następnym tygodniu unikał skutecznie majora Jonesa, lecz nie było sposobu, by wymazać się z pamięci członków dywizjonu. Koledzy pokazywali go z dumą kumplom z innych eskadr, legenda krążyła, z każdym opowiedzeniem coraz bogatsza. Gdziekolwiek się znalazł, przerwa w rozmowie musiała się wypełnić stwierdzeniem: „Naprawdę powinieneś już puścić piersi Lindy, Tom.”

Opowieść o jego wyczynach dotarła za nim do Arizony, i nawet w tamtejszej bezpruderyjnej społeczności, wpłynęła na raporty o jego skuteczności. Nikt nie wątpił w umiejętności Toma jako pilota i jego kompetencje dowódcy eskadry, lecz nikt nie chciał przecież zaprzepaścić kariery, powierzając mu zadania wymagające dużej odpowiedzialności. W tle organizacyjnym Taktycznego Dowództwa Powietrznego (TAC) stale było obecne widmo Jacksona Jonesa, który mógł pewnego dnia zostać generałem. Nikt nie chciał dać się zapamiętać jako przyjaciel zdeklarowanego wroga generała. Kariery z dużo bardziej błahych powodów rozpadały się w gruzy.

Kariera Toma stała pod znakiem zapytania. Zlecano mu jedynie niewielkie, mało znaczące zadania, które nie mogły mu zapewnić rozgłosu; wkrótce z rosnącą goryczą Tom odrzucał nawet te znikome oferty. Któż u diabła chciałby być oficerem administracyjnym dywizjonu?

Tomowi było bardzo głupio z powodu Lindy. Nie ulegało wątpliwości, że ów incydent był główną przyczyną jej rozwodu z Jonesem w następnym roku. Wciąż jednak sądził, że jeśli ktoś tu został skrzywdzony, to właśnie Tom Brooks. To ona nalegała, by poszli zaczerpnąć świeżego powietrza i to ona pozbyła się górnej części swej sukni. Przyznałby co prawda, że nie potrzebował specjalnej zachęty, by ją obłapiać, i konsekwencją tych poczynań było poczucie winy, które nie dało ulokować w nikim innym. W ostatecznym rozrachunku Tom wiedział dość dobrze, kto nawarzył tego całego piwa.

– Pułkownik Jones prosi – głos sierżanta przywiódł go do rzeczywistości nieuniknionego spotkania z człowiekiem, który ponad dziesięć lat temu przysięgał, że go zabije.

Tom poderwał się szybko, sprawdzając swój wygląd w lustrze na przeciwległej ścianie. Spojrzeniem odpowiedział wysoki, dość chudy mężczyzna o krótko ostrzyżonych włosach. Nie miał w sobie nic zachwycającego. Surowa twarz i złamany nos, który przekrzywił się nieco na lewo, czyniąc go nieco diabolicznym. Twarz była ostra. Usłyszał kiedyś, że mógłby nią rąbać drewno. W półmroku korytarza wyglądał prawie na łysego, bo choć nie uskarżał się na brak włosów, to były one przycięte tak krótko, że zdawały się całkiem nie istnieć.

Tom zacerpnął głęboko powietrza i wyprostował się. Podszedł do zamkniętych drzwi i zgodnie z powszechnie przyjętym w wojsku zwyczajem zapukał dwa razy, po czym nacisnął klamkę i wkroczył do klimatyzowanego biura. Cztery zdecydowane kroki zaprowadziły go przed szerokie drewniane biurko. Patrzył prosto przed siebie, wysoko ponad postacią, która tam siedziała. Stał na baczność i zsalutował, podnosząc rękę do czoła w sposób, który kapralowi z West Point wycisnęła z oczu łzy radości.

– Panie pułkowniku! – wyrzucił z siebie – Major Brooks melduje się zgodnie z rozkazem u dowódcy operacyjnego, sir!

Kątem oka zarejestrował salut w odpowiedzi. Głos brzmiał dokładnie tak, jak w najgorszych koszmarach. Niski i dobitny.

– Spocznij, majorze.

Tom przeszedł w „defiladowy odpoczynek”, rozsuwając nieco nogi i splatając ręce w ustalony sposób na plecach. Na moment przerwał wpatrywanie się w okno i spojrział prosto w nieruchome, jasnoniebieskie oczy pułkownika Jacksona Jonesa. Długa cisza sprawiła, że włosy na karku Toma zaczęły się podnosić. Wreszcie mężczyzna przemówił.

– Nie będę się trudził prosząc, by pan usiadł, majorze, bo to będzie naprawdę krótkie spotkanie. Dowódca 2. Dywizji Powietrznej polecił, bym rozmawiał z każdym, kto będzie w jakkolwiek sposób bezpośrednio współpracował z Wietnamczykami. Zazwyczaj lubię ten obowiązek, spotkałem tu kilku ludzi, z którymi z dumą służyłbym wszędzie. Miałem nadzieję nie oglądać pana nigdy więcej. Widzę, że pomimo moich wszelkich starań, udało się panu osiągnąć stopień majora. Zapewniam, że zrobiłem wszystko, by powstrzymać ten awans, podobnie jak poruszę niebo i ziemię, by nigdy pan nie włożył munduru ze srebrnymi listkami podpułkownika. Rzecz jasna, mógłbym to zrobić o wiele łatwiej, gdybym był generałem. Niestety, nie jest łatwo zostać nim komuś, kogo zna niemal każdy członek oficerskiego korpusu jako tego, któremu żona przypawiła rogi z podwładnym.

– To nieuczciwe, sir! – mruknął Tom. – Wie pan doskonale, że niewiele się tamtej nocy zdarzyło, i że inicjatywa nie należała do mnie.

– Czy było tak, czy owak, majorze, pański współudział był oczywisty. Od czasu waszej małej schadzki z moją żoną spędziłem każdy dzień życia próbując odzyskać reputację i wrócić na dawne tory.

– Jak i ja, pułkowniku! – rzekł Tom odrobinę głośniejsze. Zaczynał ogarniać go gniew, powoli tracił zimną krew, która towarzyszyła mu podczas ostatniej nocy. Ostatecznie, co ten drań mógł mu jeszcze zrobić?

Pułkownik Jones wstał, splótł ręce na plecach i wyjrzał przez okno na sunące wolno ulicą samochody. Tom zauważył, że mężczyzna utrzymywał się w dobrej formie. Brzuch miał płaski, a bicepsy dobrze określone. Jones musiał mieć teraz czterdzieści pięć lat, a wciąż wydawał się zdolny biec milę z okładem, jak w Point. Tom zauważył jednak z radością, że pułkownik zaczynał łysieć.

– Pierwszym, co chciałem zrobić, majorze Brooks, gdy dowiedziałem się o pańskim przylocie, było pozbycie się pana. Nie byłoby to trudne, ale na gwałt potrzebujemy obecnie pilotów i będziemy ich przyjmować do chwili, gdy rurociąg ze Stanów się zatka. Mimo wszystko mógłbym was odesłać do Tajlandii lub gdziekolwiek indziej, gdzie nie musiałbym was więcej oglądać.

To była jego szansa:

– Panie pułkowniku! Chciałbym pana powiadomić, że wciąż jestem na świeżo z F-100 i przelatałem na nich więcej niż tysiąc godzin. Uczyłem strzelectwa w maszynach dwuosobowych i byłem najlepszym strzelcem w dwóch moich ostatnich dywizjonach. Mógłbym być pilotem w jednej z eskadr myśliwców pod pana dowództwem.

Pułkownik Jones uśmiechnął się lodowato.

– Z pewnością, majorze Brooks. Lecz mam wobec pana zupełnie inne plany – zbliżył się do biurka, oparł dłonie i spojrzał Tomowi prosto w oczy. – Potrzebujemy pilotów, lecz zależy wyłącznie ode mnie, gdzie będą latać. Spędziłem sporo czasu rozmyślając nad najwłaściwszym miejscem dla pana.

Uśmiechał się z satysfakcją, wciąż spoglądając na Toma. Uśmiech wyglądał teraz na całkowicie szczery.

– Majorze Brooks, zamelduje się pan u oficera łączności powietrznej w kwaterze głównej IV Korpusu w Can Tho. Poleciałem podpułkownikowi Robinsonowi dopilnować pańskiego zaokrętowania się na O-1, oraz dostarczyć pana dalej, na stanowisko wysuniętego kontrolera powietrznego jednego z sektorów przylądka Cau Mau. A dokładnie – odwrócił się do wielkiej mapy Południowego Wietnamu – tutaj.

Tom zbliżył się i spojrzał na miejsce wskazane przez palec pułkownika. Ledwo mu się to udało. Punkt leżał na południu, niemal u wybrzeży Morza Południowochińskiego, najdalej, jak tylko się dało.

– Bac Lieu – rzekł Jones, szczerząc zęby.



## 2

Tom siedział na drewnianej ławce, w cieniu budynku odpraw lotów wewnątrz krajowych, otoczony bagażem oraz dopiero co otrzymanym ekwipunkiem. Nowe wojskowe buty uwierały go i ciążyły z powodu metalowych wkładek, które umieszczono wewnątrz, by chronić stopy przed kółkami *punji*. Sierżant zasiadający w budynku za biurkiem obiecał, że da znać Tomowi, jeżeli pojawi się lot z międzylądowaniem w Can Tho.

Tom znów miał na sobie mundur lotniczy i czuł się w nim o wiele lepiej, niż w pozbawionym wyrazu stroju khaki. Spojrzał w dół, na skrzydełka z materiału wszyte po lewej stronie klatki piersiowej, emblemat dowodzącego pilota. Po prawej widniał znak Taktycznego Dowództwa Powietrznego. Na barkach miał naszywkę swej dawnej eskadry oraz znak ukończenia Szkoły Uzbrojenia Myśliwców. Powinien był usunąć znaki swej przeszłości, jednak coś go przed tym powstrzymało. Do diabła! Wiedział dokładnie, dlaczego się ich nie pozbył. Chciał nosić je w klubie, by odciąć się od kadry sztabowej oraz członków załóg transportowców. Spełniły swe zadanie, gdyż pijący tam piloci myśliwców przyjęli go serdecznie do swego grona poprzedniego wieczoru. W efekcie czaszka pulsowała mu tępo, a smak w ustach miał taki, jakby je przepłukał olejem.

Pułkownik Jackson Jones także zaszedł do klubu na jedno martini. Tom obawiał się, że rozkaże pozbyć się starych naszywek lub wynieść do diabła, lecz nic takiego nie nastąpiło. Posłał pułkownikowi czarujący uśmiech, który miał go zapewnić, że służba w wysuniętej kontroli powietrznej w Delcie Mekongu to ostatnia rzecz, której Tomowi brakowało do szczęścia.

Po przeprawie w biurze DO Tom spędził resztę dnia na formalnościach związanych z przybyciem. Większość jego papierów została w kwaterze głównej, na lotnisku Tan Son Nhut. Odebrał standardowe wyposażenie wysuniętego kontrolera powietrznego, na które składał się rewolwer .38 Special oraz karabinek AR-15 wraz ze stojakiem. Była też kamizelka kuloodporna i stalowy hełm, nóż K-Bar w futerale oraz płetwy, poncho i kurtka, menażki, plecak i masa rzeczy, których sierżant zaopatrzeniowy najwyraźniej chciał się pozbyć. Do diabła! Brakowało tylko Batmana, który poniósłby cały ten złom.

Przed budynek ATCO zajechał dżip. Od strony pasażera wysiadł wysoki kapitan Sił Specjalnych. Podniósł z tylnego siedzenia niewielki chlebak oraz M-16, po czym niedbale skinął głową siedzącemu za kółkiem sierżantowi i wkroczył do budynku. Spod kół odjeżdżającego dżipa posypał się żwir. Tom spojrzął na zegarek – była niemal 10:00 i zdążyło się już zrobić naprawę gorąco. Kapitan Sił Specjalnych wyszedł z budynku i skierował się do miejsca, w którym siedział Tom. Rzucił mu spojrzenie, po czym usiadł obok i zaczął się wpatrywać w ścianę budynku. Tom zauważył, że mężczyzna jest mocno opalony i ma co najmniej dwa metry wzrostu, czyli o dziesięć centymetrów więcej niż on. Spodnie połowe wielokrotne prania wybieliły niemal do cna poniżej przybornika. Tom rozpoznał błyskawicę na zielonym berecie: mężczyzna należał do 5. Zgrupowania Sił Specjalnych. Kapitan wykazywał niestrudzoną cierpliwość podczas oględzin Toma. Tom uznał, że facet wygląda jak napastnik uniwersyteckiej drużyny futbolu amerykańskiego, który najchętniej grałby w obronie.

Zamknął oczy, starając się ignorować upał i towarzystwo. Nie ufał ludziom, którzy wszędzie wleżą i żywią się węzami upieczonymi w ognisku. Byli zazwyczaj dziwacznymi i nie palili się do rozmów o istotnych sprawach, na przykład technikach latania myśliwcem. Może wewnątrz będzie nieco chłodniej. Mają tam w końcu stary wentylator. Jezu! Musiało być sto pieprzonych stopni Fahrenheita i tyleż procent wilgotności.

– Panie majorze – w drzwiach pojawił się sierżant. – Mam lot, który powinien panu odpowiadać. Maszyna pojawi się tutaj w ciągu piętnastu minut i postoi może pół godziny. To Otter; mówią, że mają dość miejsca dla pana oraz kapitana. Przed lądowaniem w Can Tho zatrzymuje się tylko w My Tho. Lepiej niech pan go łapie, bo nie mam pojęcia, kiedy przyleci następny.

Tom skinął głową bez słowa i spojrzał na faceta w zielonym berecie. Będą zatem sąsiadami. Kapitan odpowiedział spojrzeniem, po czym obejrzał cały jego bagaż. Nie odezwał się jednak. Tom wiedział, że Ottery to duże jednosilnikowe górnopłaty, którymi latają zwykle piloci Armii. W jego opinii najbardziej przypominało to prowadzenie ciężarówki. Skrzywił się, czując znów w ustach niesmak poprzedniego wieczoru.

Czas włócił się, lecz upał gwałtownie się wzmagił. Tom wypełnił sobie oczekiwanie przyglądaniem się różnym maszynom kołującym nieopodal do startu. Pary F-100 oraz śmigłowych A-1 odlatywały w regularnych odstępach czasu, najpewniej w celu przeprowadzenia zaplanowanych wcześniej ataków. Transportowce C-123 sunęły dostojnie nieco dalej. Czasami pojawiały się wojskowe Caribou oraz należące do Marynarki EC-121. Pojedynczy rozpoznawczy RF-101 odleciał, unosząc mnóstwo kamer i czujników. Tom bezbłędnie rozpoznał warkot dużego silnika gwiazdowego, nim jeszcze zobaczył szarozielonego Ottera, który kołował, by zaparkować przed budynkiem. Silnik zakaszłał przed zgaśnięciem, z maszyny na pole startowe wysiadł sierżant w towarzystwie dwóch oficerów Armii, ubranych w odprasowane mundury polowe. Skierowali się do budynku. Sierżant wyglądał na bardzo czymś wkurzonego, ale ogromna większość sierżantów zazwyczaj wygląda na bardzo czymś wkurzonych. Trójka zniknęła wewnątrz.

Jeden z pilotów niespiesznie zbliżył się ku nim, a drugi podejrzliwie oglądał bebeczy silnika. Wojskowa cysterna podjechała do maszyny i zaczęła napełniać jej zbiorniki. Pilot zapalił zwisającego mu z ust papierosa i zabrał się do dłubania w silniku. Zapach wysokooktanowego paliwa czuło się nawet z oddalonej o ponad pięćdziesiąt metrów ławki Toma, który odwrócił oczy, nie chcąc być świadkiem kremacji. Pompa paliwa skończyła jednak pracę i została odłączona. Tom wypuścił powietrze.

Sierżant od transportu stanął w drzwiach drzwi.

– Dobra, panowie. Możecie zanieść swoje rzeczy do samolotu i przygotować się do zaokrętowania.

Tom wstał i zaczął zbierać torby i tobołki. Z pewnością będzie musiał zrobić dwie tury. Kapitan Sił Specjalnych spojrzał na niego, zawiesił karabin na ramieniu i chwycił jedną z największych toreb. Muskuly na ramionach zadrgały, jakby ukrywał pod skórą dwa pokaźne węże boa. Bez oglądania się ruszył do samolotu, raźnie krocząc przez upał. Tom nieco mniej entuzjastycznie podążył za nim.

Pilot zdążył już załadować torbę do samolotu, nim obładowany Tom dotarł na miejsce. Jego ładunek również powędrował do luku bagażowego. Tom podzięko-

wał kapitanowi zdawkowo i cofnął się, by lepiej widzieć maszynę. Skonstatował, że nie tylko jest to najbrzydszy samolot, jaki kiedykolwiek widział, lecz prawdopodobnie też najbardziej brudny. Przypominał półciążarówkę farmera – użyteczną, choć mocno nadwerężoną, całkiem utyłaną błotem i pyłem. Cofnął się do władu i rozpoczął wspinaczkę, lecz przerwał, gdy jego współpasażer wreszcie przemówił.

– Będzie stał jeszcze jakiś czas i zdążymy się wewnątrz usmażyć – patrzył na przesiąknięty potem mundur lotniczy Toma. Twarz kapitana wyglądała na zupełnie suchą, a kant jego spodni był wciąż wyraźny.

Tom mruknął i wszedł pod skrzydło, by zejść ze słońca. Kapitan dołączył do niego, zapalając papierosa. Tom miał właśnie zrobić uwagę, że palenie tak blisko samolotu nie jest być może najlepszym pomysłem, ale przypomniał sobie pilota podczas tankowania i zdecydował, że do diabła z tym. Oficer bezpieczeństwa Sił Powietrznych doznałby zapewne szoku widząc ów incydent, lecz w Armii najwyraźniej mieli to gdzieś.

Tom wyciągnął dłoń.

– Nazywam się Brooks. Dzięki za pomoc.

– Nie ma sprawy – odrzekł kapitan. – Jim Christian. Słyszałem, jak sierżant mówił, że zmierza pan do Can Tho. To pańska placówka?

– Nie. Gdy tylko zaokrętuje się na Bird Doga, lecę w miejsce, które nazywa się Bac Lieu.

Christian spojrział na niego z większym zainteresowaniem.

– Bac Lieu? Będzie pan w zespole sektora?

– Diabli wiedzą. Wiem tylko, że mam być wysuniętym kontrolerem powietrznym. Sądzę, że dowiem się więcej na odprawie w kwaterze głównej IV Korpusu. Pan również do Can Tho?

– Nie, na szczęście! – twarz kapitana Christiana wypełnił szeroki uśmiech, nieco łagodząc surowe rysy. – Zbyt wiele grubych ryb, poza tym każą tam grać w siatkówkę. Nie, mam swój uroczy, mały kampus Sił Specjalnych w Ba Xoai. To kawałek na północ od Lasu U Mihn.

– Przepraszam. Obawiam się, że jak dotąd nie wiem zbyt wiele o okolicy i co gdzie jest.

– Panie majorze, jeżeli będzie pan FAC, to gwarantuję, że nie zdąży się pan bardzo zestarzeć, nim pozna pan każdy skrawek. Będziemy się zapewne widywać od czasu do czasu. W IV Korpusie nie ma zbyt wielu krąglookich. Oto nasz pilot. Chyba już czas na pokład.

Lot do My Tho otworzył Tomowi oczy, sprawiając, że zblakły wszelkie wyobrażenia o strzelistych lasach deszczowych kryjących ziemię, które zdążył sobie wytworzyć. Od chwili startu z Tan Son Nhut jedynym, co właściwie widział, były porosłe dżunglą obszary, tu i ówdzie poprzecinane strumieniami. Kapitan Christian dostrzegł jego zainteresowanie i zwrócił się do niego, starając się przekrzyknąć ryk gwiazdowego silnika.

– To strefa specjalna Rung Sat. Działają tam wietnamskie siły specjalne, lecz kontrolę sprawuje Wietkong. To w większości namorzyny i węże. – Opuścił beret na oczy i wkrótce już spał.

Tom nie przestawał wyglądać przez okienko. Wkrótce zostawili za sobą namorzyny i teraz, jak okiem sięgnąć, rozciągała się przed nimi Delta Mekongu. Nie dżungla, lecz kilometry płaskiego, namokłego terenu upstrzonego drewnianymi tamami. Mnogość kanałów zaskoczyła go. Wydawało się, że są ich setki – niektóre były proste niczym pas startowy i ewidentnie wykopane przez człowieka, inne podążały krętą drogą naturalnych strumieni. Niewielkie wioski leżały rozproszone po całym obszarze, zawsze jednak w pobliżu kanału. Na wodzie unosiły się tuziny małych łódek. Niektóre kanały i wszystkie pola ryżowe wyglądały na wyschnięte i jałowe.

Tom nie był pewien, czego właściwie oczekiwali, z pewnością jednak nie spokojnej, sielankowej krainy przesuwającej się pod majestatycznie lecącym samolotem. Gdzie na tych terenach mógł kryć się Wietkong? Lub raczej, gdzie nie mógłby się ukryć? Czy ktokolwiek byłby w stanie wytropić tę efemeryczną populację? Czy ktoś byłby w ogóle zdolny poruszać się tam inaczej niż łódką? Tom dostrzegał sporadyczne drogi. Z pewnością jednak komunikacja funkcjonowała w przeważającej mierze dzięki sampanom, czy jak tam nazywano te łódki. Jednej z szos piloci mogli używać dla orientacji; prowadziła wprost do Sajgonu. Na ich wysokości, którą Tom oszacował na około 300 metrów, wyglądała na usypaną nieco powyżej pół ryżu.

Tom wyczuł lekkie opuszczenie nosa maszyny, nim jeszcze uszy zarejestrowały ubytek mocy, gdy pilot przymknął przepustnicę. Tom skierował wzrok pomiędzy siedzenia, by między plecami pilotów spojrzeć przez szybę kabiny. Obaj byli młodzi, w okolicach osiemnastki. Śmiali się i parskali jak para szkolnych kumpli. Byli niewiele młodszy od niego, gdy strącał swego pierwszego MiG-a na południe od rzeki Jalu w Korei.

Pilot prowadził Ottera szybko w dół, więc Tom zdążył jedynie zerknąć na spore miasto, nim maszyna wykonała decydujące podejście do lądowania na lotnisku My Tho. Pod skrzydłem zamigotała błotnista rzeka i dzieciak na przedzie podkładał do rampy.

Gdy kołowali z powrotem, drugi pilot opuścił fotel i chwiejnie wszedł do kabiny.

– Posiedźcie przez moment, panowie, nie będziemy nawet gasić silnika. Wyrzucimy tylko kilka pak, weźmiemy jedno istnienie na pokład i zaraz lecimy dalej.

Nie kłamał. Nim samolot się zatrzymał, oficer otworzył drzwi i zaczął pozbywać się z pokładu toreb i pak. Gdy skończył, wciągnął na górę amerykańskiego żołnierza, który przybiegł galopem. Maszyna już ruszała, drzwi zostały zamknięte, a wielki silnik gwiazdowy ryknął, gdy pilot zwiększył moc do kołowania na pozycję do startu. Nowo przybyły opadł na fotel i uśmiechnął się do oficerów.

– Jak leci, sierżancie? – spytał kapitan Christian.

– Nie mogę chyba narzekać. Ostatecznie nie wiem, czy nie wyjdzie mi to na dobre.

– Z powrotem do zespołu?

– Tak, sir. Mówią, że całkiem wydobrałem, wszystko się zagoiło. A potem ten przygłupi konował powiedział, bym uważał, żeby do ran nie dostała się żadna zainfekowana woda. – Sierżanta bawiło to chyba nadzwyczajnie.

– Sierżant Bowman – rzekł Christian do Toma – należy do zespołu podsektorowego w Rach Gia. Dał się postrzelić w dupę oraz plecy. – Christian uśmiechnął się

do sierżanta Bowmana, zanim ponownie zapadł w fotel, by kontynuować drzemkę. Podoficer poszedł w jego ślady. Tom poczuł natomiast, że wcale nie jest śpiący. Po raz pierwszy od trzydziestu lat strzały padały tak blisko.

Powróciwszy do okna zobaczył, że krajobraz nie zmienił się wcale – wciąż kanały, pola ryżowe i wioski pośród drzew, chyba bananowców. Większość domów mieszkalnych zbudowano przy kanałach lub strumieniach, z uwagi na łatwy dostęp do wody. Linie drzew rosnące niekiedy wzdłuż potoków wydawały się bardzo gęste, dając pewne wyobrażenie o bujności miejscowej flory, nim nie przetrzebili jej Wietnamczycy, zagospodarowując ziemię pod pola ryżowe.

Minęło kolejne dwadzieścia minut i samolot ponownie szedł w dół. Tom dostrzegł wielką, błotnistą rzekę przed sobą, z pokaznym miastem na południowym brzegu. Wypełniały ją sampany, niektóre z pojedynczym żaglem, inne poruszane przez samotnego wiosłarza. Parę wyposażonych było nawet w silnik. Samolot skierował się nad lewy brzeg i ustawił do decydującego podejścia do lądowania w Can Tho.

Łądowiskiem była kolejna droga PSP, jak zauważył Tom, gdy oficer ubezpieczający po raz drugi przywarł maszyną do podłoża. Krawędzie stalowych mat były gdzieś tam powyginane, tu i ówdzie sterczały ostre pręty. Po obu stronach pasa ustawiono liczne zbiorniki na wodę.

Silnik zaprotestował, gdy pilot odciął dopływ mieszanki; w odpowiedzi na schłodzenie rozgrzanego metalu rozległ się nagły stukot. Drugi pilot przebiegł pomiędzy rzędami siedzeń, pchnął drzwi i wyskoczył na zewnątrz. Stał przy włączniku i szczerząc się jak idiota udawał stewardesę. Tom wziął karabin i wkroczył do sauny.

– Dziękujemy państwu za dzisiejszy lot z KLL – powiedział uśmiechnięty drugi pilot; a gdy Tom uniósł brew, dodał: – Kurduplastymi Liniami Lotniczymi.

Tom posłał mu gniewne spojrzenie i zaczął zbierać torby. Na zewnątrz stał mały gipsowy budynek w kolorze jaskrawej żółci oraz kilka mniejszych dobudówek. Kapitan Christian przypomniał Tomowi o reszcie ładunku.

– Zmierz pan do kompleksu DDWW, panie majorze? – spytał oficer Sił Specjalnych.

– Tak mierniam – odrzekł Tom. – Brak mi innych pomysłów. Nie udzielono mi w Tan Son Nhut zbyt jasnych informacji.

– Hmm... Jeżeli ma się pan zameldować u pułkownika Robinsona, oficera łączności Sił Powietrznych, to właśnie tam go pan zastanie. Tam albo w CBWP. Jeżeli nie jest teraz na miejscu, zjawi się późnym popołudniem. Tak czy owak, musi pan znaleźć jakieś miejsce na nocleg. Mogę pana podrzucić, jeśli pan chce. I tak muszę zadzwonić po dżipa.

– Byłoby naprawdę świetnie.

Christian wszedł do budynku, a Tom przyglądał się otoczeniu. Chryste, było jeszcze goręcej niż w Sajgonie. Choć na niebie nie widział żadnej chmurki, powietrze wydawało się wręcz przesycone wilgocią. Trzech Wietnamczyków w mundurach lotniczych i kolorowych czapeczkach baseballowych przykucnęło na ziemi nieopodal rogu budynku. Jeden z nich trzymał na smyczy małą małpkę, która wytrwale wspinała się na leżącego obok kundla. Małpka robiła wszystko, by wyprowadzić psa z równowagi, skrzeczała histerycznie, kołysząc biodrami w kopulacyj-

nym amoku. Pies spoglądał na to z wyraźnym znużeniem, najwyraźniej nie była to pierwsza próba gwałtu podjęta przez małpkę. Wietnamczycy podśmiewali się z przedstawienia, dopingując przedstawicielkę naczelnych do większych starań. Tom poczuł, że chętnie by się dowiedział, jak daleko mógłby kopnąć całe to towarzystwo, lecz zrezygnował.

Poza Otterem na rampie lądowiska stały jeszcze trzy maszyny: C-47 z wietnamskimi oznakowaniami, oraz dwie Cessny O-1 Bird Dog. Na oliwkowoburym kadłubie jednego również widniały wietnamskie znaki, drugi, pomalowany na kolor jasnoszary, należał do USAF. Gdyby im odjąć rakiety zawieszono pod każdym ze skrzydeł, wyglądałyby na żywcem wyjęte z małego lotniska gdzieś w Stanach Zjednoczonych. Tom podszedł i zaczął im się nieco dokładnie przyglądać, ale w tym samym momencie Christian wyszedł z budynku.

– Dżip jest już w drodze. Kazałem im też sprawdzić, gdzie przebywa obecnie podpułkownik Robinson. Jest w CBWP, to kilometr lub dwa stąd. Pojedziemy tam, jeśli pan chce, a pańskie bagaże zostawimy tutaj. Ktoś je potem dostarczy do pańskiej kwatery. Wezmę też pańską broń. Mają tu fiola na punkcie kradzionych pukawek.

– W porządku – odrzekł Tom. – Mam jeszcze pistolet w torbie. Sądzi pan, że to przejdzie?

– Niech pan go lepiej wyjmie, tak dla bezpieczeństwa. Jeżeli nie chce go pan targać, zostawię go na biurku starszego sierżanta.

– Co jest grane? Czy powinniśmy go nosić tutaj zawsze przy sobie?

– Wie pan... – odpowiedział rosy kapitan. – Jeżeli chodzi o tych, co pracują w budynkach i w bezpośredniej ich bliskości, to niekoniecznie. Jeżeli jednak chce się wyściubić nos poza miasto, chociażby po to, by dostać się na lotnisko, sugerowałbym nosić pukawkę przy sobie. To około trzech kilometrów, więc lepiej się zabezpieczyć niż potem żałować.

Tom przytaknął niewyraźnie i zaczął rozgrzebywać swoje bagaże w poszukiwaniu broni. Znalazłszy, niezgrabnie opasał się kaburą, czując się nieco głupio. Gdy się wyprostował, zobaczył, jak kapitan Christian przygląda się wysiłkom małpki z lekkim uśmiechem. Po chwili podszedł do kucających Wietnamczyków i prędko powiedział coś w ich języku. Odpowiedzieli, nie odrywając oczu od pokazu. Christian schylił się, wielka ręka ujęła kark Wietnamczyka trzymającego smycz. Wyprostował się, wciąż trzymając tamtego za kark i przemówił raz jeszcze. Ich oczy były teraz na tym samym poziomie, choć nogi człowieczka dyndały pół metra nad ziemią. Małpa wciąż dymała psa, aż wielki wojskowy but Christiana posłał ją przez powietrze niczym piłkę. Pies zrejterował za róg budynku, a Wietnamczycy – przynajmniej ci, którzy mieli podłoże pod stopami – odsunęli się od wielkiego Amerykanina, który wciąż trzymał w górze ich kompana. Christian raz jeszcze przemówił do niego cicho, po czym delikatnie opuścił go na piasek. Grupka schroniła się za C-47, a Christian wrócił do Toma.

Zachowywał się, jakby nie stało się nic niecodziennego, ale Tom dostrzegł, że wydobyl swój automatyczny .45 i wsunął do niego magazynek, a nawet umieścił jeden ładunek w komorze, nim zabezpieczył i schował broń.

– Sądzi pan, że czegoś spróbują? – spytał Tom.

– Oni nie – rzekł Christian z uśmiechem. – Te dupki sieprzają, jeśli tylko na nich spojrzeć. Przygotowuję się na wyprawę do miasta. Niezaładowany gną mógłby zaszkodzić.

– Wydaje mi się, że z mojej broni nie będzie wielkiego pożytku. Dali mi pistolet i flintę bez amunicji.

– Żaden problem. Tutaj dostanie pan wszystko, czego potrzeba. To pewnie nasz dżip.

Krótką podróż do Can Tho okazała się egzotyczna nawet na standardy Toma, któremu zdarzyło się stacjonować w wielu miejscach na świecie. Poprzez tumany kurzu wznoszone przez pojazd z nieasfaltowanej drogi, zdołał dostrzec, że faktycznie wznosi się ona metr ponad otaczające ją pola ryżowe. Wodne bawoły stąpały ciężko suchym, spękanym polem, ciągnąc pługi. Niewielcy, wychudzeni chłopcy w stożkowatych kapeluszach przysiadali zwierzętom na grzbietach niczym ptaki. Niektórzy wyciągali się na nich, kołysząc się jak wytrawni żeglarze na pełnym morzu. Wzdłuż strumieni rosły pokryte kurzem palmy nipa oraz słoniowe trawy, ogryzane z rezygnacją przez nieliczne kozy i kościste krowy.

Nim Tom się obejrzał, znikł wiejski krajobraz i dżip znalazł się w Can Tho, głównym mieście Deltę. Szczerze mówiąc, wyglądało bardziej na przeludnione slumsy niż miasto. Domy zbudowano tu ze wszystkiego, co było pod ręką, włącznie z puszkami po piwie i kartonowymi pudłami. Sprzedawcy zachwalali swe wyroby tłumowi w tradycyjnych czarnych pidżamach i stożkowatych słomkowych kapeluszach. Tu i ówdzie przyodziane w *ao dai* kobiety przeciskały się przez tłum, ostrożnie stawiając stopy. Na wartach pojawiali się nieregularnie wietnamscy żołnierze, pary białobrytych tubylczych policjantów opierały się o budynki lub przechadzały.

Christian pokazał ich Tomowi.

– Amerykanie nazywają ich Białymi Myszami – wyjaśnił. – Są właściwie bezużyteczni. W rzeczywistości miasto kontroluje armia.

Wóz zatrzymał się naprzeciw podwójnego budynku. Para rozleniwionych wietnamskich żołnierzy opierała się o barykadę z worków z piaskiem. Dżip wydawał się ich zupełnie nie interesować.

– To jest IV CBWP. – Christian pokazał Tomowi budynek. – Dopilnuję, żeby pański sprzęt dotarł bezpiecznie do kompleksu. Może zobaczymy się w klubie dziś wieczorem.

Uścisnęli dłonie. Kapitan dał znak wietnamskiemu kierowcy i dżip odjechał. Tom przyjrzał się żołnierzom pilnującym budynku. Popatrzyli na niego bez zainteresowania i powrócili do bezmyślnego gapienia się w przestrzeń. Wszedł do budynku, w nadziei na znalezienie pomocy. Sierżant sztabowy Armii Stanów Zjednoczonych siedział przy biurku w samym środku pokoju i przewracał papiery. Spojrzał znad nich na zbliżającego się Toma.

– Czy mogę w czymś pomóc, sir?

– Zapewne. O ile wiecie, gdzie jest podpułkownik Robinson.

– Jego biuro jest na górze: wejście pan po schodach i przez podwójne drzwi.

– Z powrotem zajął się papierami, a Tom ruszył na schody.

Drzwi biura oficera łączności powietrznej opatrzone napisem USAF ALO. Tom zapukał i wszedł. Sierżant Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych oraz przedsta-

wiciel Wietnamskich Sił Powietrznych siedzieli przy biurkach naprzeciw siebie, przy przeciwległych ścianach pokoju. Amerykanin przyjrzał mu się badawczo. Tom odpowiedział podobnym spojrzeniem i wygrał.

- W czym panu pomóc, panie majorze?
- Major Brooks do pułkownika Robinsona.
- W jakiej sprawie, sir?
- Nie wasz zasrany interes.

Sierżant poczerwieniał i wstał, by podejść do kolejnych drzwi. Te jednak otwarły się, nim do nich dotarł. Potężny, czarny mężczyzna w mundurze lotniczym patrzył badawczo na Toma. Na barkach miał srebrne listki podpułkownika. W lewą kieszeń na klatce piersiowej szarego munduru wszyto skrzydełka dowodzącego pilota.

- Z pewnością major Brooks - rzekł. - Pułkownik Jones kazał mi pana oczekiwać. Nie dziwię się, że przy tak paskudnym charakterze nie jesteście w najlepszych stosunkach. Wchodź.

Wewnątrz podpułkownik odwrócił się i przyjrzał Tomowi raz jeszcze. W końcu, jak się wydawało, doszedł do jakichś wniosków, bo wyciągnął dłoń, którą Tom uścisnął.

- Będziemy razem pracować kawał czasu, majorze. Nie wiem, jaki problem macie z DO, poza tym, że z pewnością nie darzy cię sympatią. Co ty na to, że niezależnie od tego my zaczniemy na dobrej stopie? Cokolwiek masz do pułkownika, nas to nie dotyczy.

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Myślę też, że możemy odpuścić sobie tytułowanie. Znamy się wszyscy w IV Korpusie na wskroś, nie ma tu zresztą wielu krągłookich. Byłeś pewien, że powiem „białych”? - jego brwi zafalowały jak u Groucho Marxa. - Jestem Bill.

Tom nie mógł się nie uśmiechnąć. Z mężczyzny promieniowało coś, co trudno było zignorować.

- A ja Tom. Wybacz, że napadłem na twojego sierżanta. Przepraszę go, wychodząc.

- Opowiedz mi, co dotychczas robiłeś, Tom. Nie chcę być wścibski, ale wolałbym wiedzieć, z jakim to dzikusiem będę miał do czynienia. Chodzi mi o to, czy należałeś do Ku Klux Klanu lub coś takiego? Coś, o czym powinienem pamiętać, zanim odwrócę się do ciebie plecami.

- Nie, Bill. Nie mam takich problemów.

- Pytałem dla upewnienia - zadudnił wielki mężczyzna. - Miałem na południe stąd kontrolera, który tak diabło mnie wkurzał każdego razu, gdy się tu zjawiał, że przy którejś okazji omal nie zadławiłem się melonem.

Tom zaśmiał się.

- I co się z nim stało?

Uśmiech zniknął z twarzy Billa.

- Pojechał do domu w plastikowym worku. Wietkong przedziurawił mu grdykę trzema pociskami kalibru 51, gdy tamten właśnie myślał, że jest za sprytny, by coś mu się mogło stać. Miał wówczas trzy tygodnie do końca służby tutaj. Chcę, żebyś to dobrze zapamiętał. Ci ludzie nie przejmują się żadną datą. Możesz być pewien



powrotu tylko wówczas, gdy wsiądziesz do samolotu, który ma cię odwieźć do domu. W każdym innym wypadku stary Charley będzie tylko czekał, aż coś skrewisz. Nawet jednak, gdy wszystko robisz bez zarzutu, i tak ma szansę cię dorwać. Lecz gdy zrobisz coś źle, to dorwie cię na pewno. A teraz podaj mi wszelkie niesławne szczegóły dotyczące twojej osoby. Nie dostarczono mi jeszcze twoich akt personalnych i nie miałem okazji, by w nich trochę podrażnić i wydobyć co soczystsze kąski.

– Nie ma sensu zagłębiać się w detale, więc powiem tylko, że pułkownik Jones i ja znamy się od dawna. Nienawidzi mnie za coś, o czym sądzi, że mu to zrobiłem, a nasz pułkownik Jones nie jest z tych, co łatwo takie rzeczy zapominają.

– Nie miało to przypadkiem nic wspólnego z jego żoną? – niesforne brwi Billa znów zamachały Tomowi. Bill zachichotał. Cienko, nieco nawet dziewczęco jak na mężczyznę tej postury, w dodatku obdarzonego nadzwyczaj głębokim głosem. Pokiwał głową w odpowiedzi na zaskoczone spojrzenie Toma.

– Człowieku! Nim mnie zgarnęli do tej roboty, całe życie służyłem w myśliwcach. Słyszałem waszą historię już jako kapitan, choć nie wiedziałem, kim był ten drugi facet. Czuję się zaszczycony spotkaniem. – Mówiąc to położył dłoń na słusznej wielkości brzuchu. – Zapewniam cię! W duchu wszyscy tu świętujemy. Chłopie, słyszysz w połowie eskadr myśliwców w TAC.

Tom skrzywił się, jakby właśnie zrobiono mu lewatywę.

– Oprócz tego zna mnie też komisja promocyjna. Dwa razy odrzucili mi majora i raz podpułkownika. Bez tamtej sprawy nie byłoby żadnego problemu.

Twarz Billa spochmurniała nagle.

– Odrzucony na podpułkownika? Niewesołe.

Tom potwierdził.

– Drugi raz zagwarantował mi nasz stary dobry pułkownik Jones. Osobiście mnie o tym poinformował.

Bill wolno gładził swą szczękę, patrząc w zamyśleniu na Toma.

– Może uda nam się coś wykombinować, Tom. Zwykle jest jakiś sposób. Przede wszystkim nie należy spieprzyć tego, po co tu jesteś, a w służbie FAC cholernie o to łatwo. Nie szkolili cię, co?

– Nie. Podejrzewam, że to także robota Jacksona Jonesa. Wysunięta kontrola powietrzna była ostatnim, co mogło mi przyjść do głowy, gdy dostałem przydział do Drugiej Dywizji. Sądzę, że chciał, bym był możliwie najmniej przygotowany do służby.

– Możliwe, lecz wolałbym, żebyśmy myśleli jak najlepiej o tej sytuacji. Z twoim doświadczeniem i przelatanymi godzinami nie podejrzewam, byś mógł mieć jakieś problemy ucząc się fachu. Zaczniemy jutro. Postaram wdrożyć cię na szybko tutaj, w CBWP, a potem zabrać do kompleksu i znaleźć ci zakwaterowanie. Co ty na to?

– W porządku.

Podpułkownik Robinson poprowadził Toma przez kolejne drzwi do wielkiego pokoju za swym biurem. Praca wlokła się tam niemrawo. Paru Wietnamczyków oraz Amerykanów, zarówno oficerów jak i podoficerów, wyglądało na względnie zajętych, choć z pewnością nie pochłoniętych zajęciami. Przedstawiciele odrębnych nacji pracowali parami. Robinson przedstawił Toma wszystkim, prowadzą-

jąc go po pokoju. Tom starał się zapamiętać imiona, lecz przy wietnamskich skapitulował. Duża mapa IV Korpusu wisiała na ścianie. Amerykański żołnierz coś na niej bazgrał. Amerykańscy oficerowie trafiali tutaj po sześciu miesiącach czynnej służby w wysuniętej kontroli powietrznej, jak się dowiedział Tom.

– A oto jak organizujemy ataki lotnicze – wyjaśnił Bill. – Mógłbyś to chyba nazwać odchwaszczaniem. A więc: prośba o atak przychodzi, dajmy na to, od 43. batalionu komandosów wietnamskich. Ich dowódca lub jego amerykański doradca kontaktuje się z prowincją lub sektorem, gdzie wniosek akceptuje się lub odrzuca. Jeżeli to pierwsze, to prośba wędruje do dywizji: w przypadku komandosów do kwatery głównej 9. Dywizji w Sadec. Stamtąd trafia tutaj, do CBWP IV Korpusu. Akronim ów oznacza Centrum Bezpośredniego Wsparcia Powietrznego. To właśnie miejsce, w którym się znajdujemy. Jeżeli uznamy tutaj zasadność wniosku, amerykańscy i wietnamscy oficerowie funkcyjni wyślą samolot z sił wsparcie z powietrza. W przypadku szczególnego zagrożenia mogą też nawiązać kontakt z TACC w Tan Son Nhut w Sajgonie, gdzie stacjonują dodatkowe siły.

Wietnamczycy muszą mieć przyzwolenie Amerykanów, zanim przydzielą im się maszynę Stanów Zjednoczonych. Jeśli chcą skorzystać z własnych zasobów, to droga wolna. A oto zasadnicza robota doradców w batalionach. Doradca to facet z radiem i namiarem na amerykańskie myśliwce i śmigłowce. Powiedzmy sobie jednak szczerze: dowódca wietnamskiego batalionu wcale nie uważa, by potrzebował amerykańskiego porucznika do jakichkolwiek porad. Z pewnością jednak nie chce się pozbyć doświadczenia do taktycznej sieci powietrznej Stanów Zjednoczonych.

– Wszystko to brzmi trochę pokracznie – zauważył Tom.

Robinson ryknął śmiechem.

– A pewnie, że pokracznie. Ta pieprzona praca to najbardziej pokraczna z możliwych. Chociażby wówczas, gdy mamy jednostki w kontakcie – nazywamy to OWK – dowódca prowincji lub sektora włączy się hen daleko i nigdzie nie można go znaleźć, a wietnamscy oficerowie nie chcą samodzielnie podejmować decyzji. Oprócz tego jeden z tych cwaniaczków lub tuzin czy więcej zachowuje się tak, jakby obiecał całe Siły Powietrzne IV Korpusu na ów dzień komuś z sąsiedniej prowincji. W szczególności temu, kto akurat chciałby wysadzić w powietrze kogoś, do kogo żywi urazę, lub kto zalega z podatkami czy tego typu gównem. Pamiętaj, jesteśmy w Delcie i tutaj wszystko rozgrywa się po wietnamsku.

Oddalili się od sztabowców. Tom zastanawiał się, czy Wietnamczycy znali angielski na tyle dobrze, by uchwycić drwinę w głosie Billa Robinsona, gdy mówił o ich zwierzchnikach. Jeżeli tak, nie interesowało to chyba wielkiego czarnego mężczyzny.

– Tom – ciągnął Bill. – Trzeba tutaj przede wszystkim pamiętać, że zapewniamy Wietnamczykom wszelkie możliwe wsparcie, ale bezpieczeństwo amerykańskich doradców to dla nas sprawa priorytetowa. Jeżeli mówią, że dostają po dupie, robimy wszystko, by wyciągnąć ich z kłopotów. VNAF niemal nigdy nie lata nocą, a są tutaj obozy Sił Specjalnych, które posłużyłyby za mięso armatnie, gdyby nie nocne wypadki myśliwców lub śmigłowców bojowych Stanów Zjednoczonych. Nie ma w tym względzie oficjalnych ustaleń, ale każdy Amerykanin, który tam się znajduje, wie o tym. To jedyny sposób, byśmy wszyscy mogli spać spokojnie. Po pierwsze, nie wiadomo, do czego miałyby się przydać lot amerykańskich F-100 w bezpo-

średnim starciu piechoty, wśród której nie ma amerykańskich żołnierzy. Wciąż to przecież ich wojna, mimo plotek, że planuje się silne wzmocnienie... Ale dość tego gówna o poranku. Pojedziemy teraz do kompleksu DDWW i ulokujemy cię tam. No i zbliża się pora lunchu.

Kompleks DDWW odległy był jedynie o parę minut jazdy dżipem. Jakies dwa tuziny budynków otoczono prostokątem murów z betonu i kamieni. Wieże strażnicze okupowane przez wietnamskich strażników broniły każdego rogu. Wzdłuż murów ustawiono umocnienia z piaskowych worków. Dwie równoległe linie zasieków z drutu kolczastego otaczały pustą fosę po obu brzegach. Większość budynków była niska i odkryta, by zapewnić minimum świeżego powietrza. Na ścianie największego namalowano wielką rzymską czwórkę. Flaga południowego Wietnamu wisiała w bezruchu na maszcie wznoszącym się po środku otwartej przestrzeni. Co najmniej trzy tuziny dżipów parkowały obok budynków. Zewnętrzna brama była otwarta, a wewnętrzną otworzył mały wietnamski żołnierz. Bill zatrzymał dżipa naprzeciw pierwszego budynku.

– Poszukamy tu kwatery dla ciebie – powiedział.

Tom podążył za nim do środka. Za zielonym biurkiem siedziała Wietnamka w białym *ao dai*. Powiew zawieszzonego pod sufitem powolnego wentylatora ledwo poruszał jej loki. Wdzięcznym ruchem odgarnęła włosy z czoła i uśmiechnęła się do nadchodzących oficerów. Starszy sierżant Armii siedział w dostojnym osamotnieniu w rogu wielkiego pomieszczenia. Nie podniósł wzroku znad leżącej przed nim sterty papierów.

– Co Tan – odezwał się do kobiety Bill. – Z dnia na dzień robisz się coraz piękniejsza. To jest major Brooks, zostanie z nami przez trzy czy cztery dni. Chciałbym, żebyś znalazła mu miejsce do spania. Możliwie najdalej w głąb kompleksu, na wypadek, gdyby twoi nieuchwytni kuzyni z Wietkongu zechcieli się tu zmaterializować, gdy będziemy smacznie spać. Pamiętaj, kochanie, że jesteśmy oficerami Sił Powietrznych i w związku z tym trudno od nas oczekiwać, byśmy brali udział w czymś tak dzikim i niecywilizowanym jak walka zbrojna na ziemi. Te poczynania powinno się pozostawić ludziom, którzy lubią się zniżać do tak dziecinnych praktyk. Na przykład kretynom lub sierżantom Armii.

Odezwał się starszy sierżant, wciąż nie podnosząc oczu znad papierów.

– Ja również się cieszę, że pana widzę, pułkowniku Robinson. Czy przypadkiem nie opuścił pan wczorajszej gry zbyt wcześnie? Przydałoby mi się więcej pańskich pieniędzy na przepustce.

Podpułkownik Robinson odwrócił się do dziewczyny.

– Nędzne sztuczki i kanty, moja droga. Musieli zmówić się przeciwko mnie; to jedyne wyjaśnienie. Rozumiesz, prawda?

Dziewczyna roześmiała się, zakrywając usta dłonią.

– Gówno prawda, pułkowniku. Gówno prawda.

Bill zachichotał na swój szczególny sposób.

– Czarujące! Absolutnie czarujące.

Pochyliła się nad rejestrem i przesunęła długim polakierowanym paznokciem w dół listy, zatrzymując chwilami palec i szukając odpowiedniego łóżka. Tom zerknął pod biurko i ze zdumieniem stwierdził, że paznokcie u jej drobnych stóp są

równie długie i równie pięknie wyprofilowane. Z całą pewnością nigdy nie nosiła pończoch na tych szponach.

Znalazłszy satysfakcjonującą kwatere, podniosła wzrok na podpułkownika Robinsona.

– Spanie w dwadzieścia jeden z kapitan Chrisen – wydawała się usatysfakcjonowana rezultatem swych wysiłków lingwistycznych.

– Znakomicie, złotko – powiedział Bill. – W dodatku z kapitanem Christianem, naszym przerażającym zjadaczem węży. To dobry chłop.

– Znam go. Przyleciałem z nim dzisiaj z Sajgonu. To właśnie on podrzucił mnie do CBWP.

Tom podązał za swym szefem długim, zadaszonym chodnikiem, uzyskawszy wcześniej zapewnienie starszego sierżanta, że dostarczy mu bagaż do pokoju. Kwatery obstawiały jedną stronę chodnika. Mniej więcej w połowie drogi znajdował się wspólny prysznic i latryna. Numer dwadzieścia jeden okazał się spartańską celą, wyposażoną w dwie żelazne półki i tyleż metalowych szafek. Tom wybrał tę, która była wolna i spojrzał pytająco na Billa, widząc, że wewnątrz pali się dziwaczna żarówka.

– To gorąca szafka. Wszystko pleśnieje tutaj tak cholernie szybko, że trzeba ją mieć włączoną przez cały czas. Inaczej wszystkie rzeczy zmieniają kolor na rzygozielony. Ciepło wytwarza niewielką suchą przestrzeń do bezpiecznego przechowywania bielizny. Zauważ, że szafka ma zamek. Używaj go zawsze, gdy chowasz w niej broń na noc lub kiedykolwiek, gdy nie chcesz jej brać ze sobą. Większość z nas nie nosi jej wewnątrz kompleksu. Gotów na posiłek?

Tom uczył nagle, że jest wykończony. Samolot, którym przyleciał, minął szereg stref czasowych, w dodatku w Tan Son Nhut Tom nie spał zbyt wiele. Wszystko to sprawiło, że czuł się zdezorientowany i mało przytomny.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to chyba sobie odpuszczę. Nie jestem naprawdę głodny; za to z pewnością za chwilę wyłożę się ze zmęczenia. Chyba spróbuję się trochę przekić.

– Niezła myśl. Masz wolne na resztę popołudnia, by dobrze wypocząć. Pamiętaj, jak to jest, gdy po raz pierwszy się tu znajdziesz. Nie forsuj się zbyt na razie. Zobaczmy się wieczorem w klubie.

Poklepał Toma po ramieniu, odwrócił na pięcie i wyszedł przez drzwi z wdziękiem zaskakującym u mężczyzny jego rozmiarów. Tom ciężko opadł na łóżko i zdjął swoje nowe żołnierskie buty. Czuł, jakby stopy przeżuwało mu stado szczerów. Położył się na plecach i patrzył, jak powyżej wolno obraca się wiatrak. Pot wylewał mu się każdym porą ciała. Boże! Już nienawidził tego miejsca. Starł sobie przypomnieć chłód dnia, którego opuszczał Kalifornię. Nim mu się udało, zmęczenie wzięło górę.

Obudziły go ciche klekoczące dźwięki. Leżał w bezruchu, usiłując zlokalizować ich źródło. Przez osłonięte drzwi zobaczył, że jest już późne popołudnie.

– Proszę wybaczyć – powiedział głos. – Starłem się być cicho, ale muszę się z tym uporać przed zmierzchem. Te dwudziestowatowe żarówki ledwo pozwalają bezpiecznie dotrzeć do łóżka. A przed świtaniem wybywam.

Tom podniósł się na łokciach i zobaczył kapitana Jima Christiana, który rozłożył swojego M-16 na części i ułożył je na łóżku. Pistolet .45 leżał na poduszce. W powietrzu unosił się zapach oleju do broni.

– Nie ma sprawy – rzekł Tom. – I tak powinienem się już ruszyć. – Potrzęsnał głową, by pozbyć się sennego otępienia. – Wyjeżdża pan rano?

– Tak, muszę wracać do obozu. Wpadłem tylko, by wziąć trochę pieniędzy.

– Ma pan na myśli żołąd dla swoich chłopaków?

– Nie. To forsa na cele wywiadowcze. Opłacamy nią informatorów – uśmiechnął się do Toma. – Niektórzy są naprawdę rzetelni. Innym zaś płacimy tylko za opowiadanie niestworzonych historii, które wymyślają, by skosić trochę kasy. Ostatniego tygodnia jeden z takich powiedział mi bez mrugnienia okiem, że widział na własne oczy północnowietnamską łódź podwodną w kanale Bo Chu, który jest długi na sześćdziesiąt metrów, a szeroki zaledwie na sześć. Zapytany, w jaki sposób łódź pokonała ostry dziewięćdziesięciostopniowy zakręt w Hau Chai, odpowiedział, że chyba miała zamontowany jakiś rodzaj mechanizmu, który pozwalał jej się zginać w pół. Pomyślałem sobie, a co mi tam, i dałem mu dwadzieścia piastrow ze słowami, żeby był w pogotowiu i dał mi znać, gdy jeszcze gdzieś takie zobaczy.

Tom uśmiechnął się, kręcąc głową. Zauważył, że jego bagaż został przyniesiony i rzucony w róg pokoju. Karabin leżał na torbie. Spojrzał na wprawne ręce Christiana, składające na powrót broń. Poskarżył się, że nie ma najlepszego pojęcia, jak rozmontować swoją.

– Posłuchaj, Jim. Znalazłbyś parę minut, aby mi pokazać, jak się to robi? – poruszył się w stronę rogu pokoju.

Jim Christian popatrzył na niego uważnie, by się upewnić, czy się z niego nie nabija. Wyraz niedowierzania pojawił się na jego twarzy, gdy zorientował się, że Tom mówi poważnie. Nie mógł sobie nawet wyobrazić, jak ktoś mógłby nie umieć wykonać tak rutynowego zajęcia. Nie powiedział nic, tylko poszedł w róg pomieszczenia i ujął broń w dłoń, po czym przyjrzał jej się z uwagą.

– Zdaje pan sobie sprawę, że to gówno lada chwila się rozleci?

Tom wzruszył ramionami.

– Właśnie dlatego mi je dali. A co powinienem mieć według ciebie?

– Jako FAC? Najpewniej strzelbę.

Tom uśmiechnął się w odpowiedzi na dowcip, po czym zorientował, że Jim nie żartował wcale.

– Czemu właśnie strzelbę?

– Jest niezawodna, a jeżeli kiedykolwiek znajdzie się pan w sytuacji, gdy będzie trzeba użyć broni, będzie to najpewniej niewielki dystans. Pięć ładunków pełnych śrutu może się okazać najprzydatniejszą rzeczą, którą mógłby pan wziąć ze sobą.

Tom zastanowił się chwilę, po czym zapytał:

– Gdzie mógłbym dostać śrutówkę? Czy daliby mi tutaj jakąś?

– Bez szans. Przywiozę panu jedną, jak zawitam tu następnym razem. A właśnie, będzie pan w Bac Lieu. Może pan wpadnie zobaczyć się ze mną któregoś dnia? Do tego czasu: tak oto rozkłada się tę zabawkę.

Po pół godzinie Tom nabrał przeświadczenia, że mógłby rozebrać karabin na główne elementy i złożyć je na powrót tak, by żaden nie pozostał. Szybko robiło się ciemno. Zauważył, że słońce zachodzi tutaj dużo szybciej, niż w klimacie umiarkowanym. Było jasno i raptem zrobiło się ciemno. Przykre dla kogoś, kto lubi oglądać zachód słońca przez pokryty szronem kieliszek martini. Albo może szklanę szkockiej. Albo oba.

– Wiesz, gdzie tu jest klub? – zapytał Christiana.

– Owszem – rzekł Jim. – Właśnie chciałem tam iść. Jestem umówiony na kolację i drinka. – Uśmiechnął się, widząc konsternację Toma. – W samym środku Deltę Mekongu, w Republice Południowego Wietnamu, spotykam się ze szwagierką. Co o tym sądzisz?

Tom pokręcił głową.

– Szczerze mówiąc, nie chwytam.

– Tak, to może brzmieć dość dziwacznie. Jest wdową. Jej mąż zginął w katastrofie śmigłowca pięć czy sześć lat temu. Facet służył w Siłach Specjalnych, jak ja. Próbowala potem paru rzeczy, lecz nie były w jej guście. Nie mieli dzieci, więc po prostu rzuciła wszystko i wstąpiła do AID, czyli Agencji Międzynarodowego Rozwoju. Ich tutejsza filia nazywa się USOM, czyli Misja Operacyjna Stanów Zjednoczonych. Kierują wieloma projektami w całym kraju. Próbuja na przykład przekonać farmerów, by przerzucili się na nowy, „cudowny ryż”, który ma podwoić ich plony i inne tego typu rzeczy. Jest tutaj od sześciu miesięcy. Twierdzi, że lubi przebywać w pobliżu żołnierzy. Czuje się przy nich jak w domu. Ożeniłem się trzy lata temu z jej siostrą, więc spotykam się z nią za każdym razem, gdy jestem w Can Tho. Chodźmy. Przedstawię pana, ale ostrzegam, każdy facet od najstarszego doradcy w dół za nią węższy.

Klub mieścił się na peryferiach kompleksu. Gdy szli, Tom zauważył, że w obozie nie ma Wietnamczyków i zapytał o to Jima.

– Wszyscy wychodzą w nocy. Nawet strażnicy są za drutami. Znikają o zachodzie słońca, w obozie zostaje tylko barmanka i kelnerki. Gdy zgasną światła w klubie, co dzieje się około jedenastej, zostają pod eskortą odprowadzone na zewnątrz. Tutaj nie można w zasadzie ufać nikomu, prócz Amerykanów. Proszę jednak zauważyć, że na maszcie wisi wietnamska flaga. Niezły układ, co?

Lada barowa w klubie była krótka, miejsca starczało dla co najwyżej pięciu, sześciu pijących. Tuzin lub więcej stolików rozmieszczono na betonowej podłodze. Największy okupowali wyżsi oficerowie: majorzy i kilku podpułkowników. Na honorowym miejscu rozparł się pułkownik, pozostali otaczali go, siedząc na ławkach. Cienki chichot Billa Robinsona dobiegł ich ze stolika w rogu. Skinął na Toma, który przeprosił Christiana i odszedł. Wysoki oficer Sił Specjalnych rozglądał się wokół w poszukiwaniu swej szwagierki, lecz jedynymi kobietami w pomieszczeniu były kelnerki i barmanka.

Dwóch młodych oficerów rozmawiało z Robinsonem. Wstali, gdy Tom podszedł do stolika. Tom popatrzył na nich nieco zdziwiony. Wszyscy, poza dowódcą traktowani byli tutaj na równi, po prostu jak chłopaki z Sił Powietrznych. Ucisnęli dłonie, a Bill dokonał przedstawienia. Jeden z jego towarzyszy, porucznik Gary Maeghan, miał na sobie mundur lotniczy Sił Powietrznych ze skrzydełkami pilota. Kapitan Frank Godneau był w uniformie polowym Armii. Nosił dystynkcje pilota.

– Ten tutaj Gary stacjonuje o dzień drogi od Tam Kien. To wysunięty kontroler powietrzny tamtej prowincji. Staruszek Frank – kontynuował, wskazując na pilota Armii – mieszka tutaj, w Can Tho. Też lata na Bird Dogu, przeważnie naprowadzając artylerię. Co powiesz na drinka?

Tom ucieszył się i kelnerka otrzymała zamówienie. Zauważył, że na dużym stole podano posiłek. Pojawiły się drinki, Tom rozprowadził dymny smak szkockiej po podniebieniu, zanim ją przełknął. Napój kosztował tu dwadzieścia pięć centów, można było płacić w dolarach lub piasrach, albo wziąć na kredyt.

– Czy pan, majorze... – zaczął Gary Maeghan, lecz umilkł. Lekki szmer przeszedł po sali i Tom spojrzął przez ramię, by dowiedzieć się jego przyczyny.

Była wysoka, co najmniej metr osiemdziesiąt, i miała krótkie czarne włosy. Matki, zgrabne uszka wystawały lekko spod chłopięcej fryzury. Nosiła dżinsy, koszulę khaki i sportowe buty, kiedyś zapewne białe, teraz zaś ciemnoszare od pokrywającego je błota. W słabym świetle Tom nie mógł być pewien, czy nosi makijaż, ale wydało mu się, że nie. Biodra pod drelichem miała pełne, lecz sprężyste, a przód bluzki był miło wypełniony. „Trzydziestka, i to ledwo, ledwo”, pomyślał Tom. Być może nie uznano by jej za piękną, bo usta miała nieco zbyt wydatne, a nos lekko przekrzywiony w lewo. Z pewnością jednak opisano by ją jako atrakcyjną. Miała twarz, która ładnie by się starzała.

Starszy doradca zerwał się z miejsca przy stole i ruszył w jej stronę, podczas gdy ona przeczesywała wzrokiem tłum. Dojrzała wysoką sylwetkę Jima Christiana z drugiej strony pokoju i skierowała się ku niemu w chwili, gdy zastąpił jej drogę pułkownik. Zatrzymała się i spojrzała na niego, obdarzając go promiennym uśmiechem, któremu blasku dodawał jeszcze kontrast mocno opalanej twarzy i bielutkich zębów. Powiedziała cicho kilka słów, nim wsunęła dłoń po ramię pułkownika i dała się zaprowadzić do swego szwagra, który stał czekając. Uściskali się serdecznie, po czym usiedli samotnie przy stoliku i rozpoczęli ożywioną rozmowę. Jim zamówił drinki. Wietnamska dziewczyna, jak zauważył Tom, patrzyła na Amerykankę, jakby ta dopiero co spadła z księżycza.

Nieco później Tom, słuchając nieprzerwanej konwersacji swych trzech współtowarzyszy, próbował rozstrzygnąć, czy ma ochotę na brandy. Zdecydował, że sobie odpuści. Dwie szkockie oraz zmęczenie sprawiły, że czuł się nieco mętnie. Potrzebował snu. Christian i jego szwagierka zaokrętowali się przy stoliku dowódcy, siedzieli teraz po obu stronach starszego doradcy, którego uwaga niezwłocznie zwróciła się ku niej. Christian wyglądał na znudzonego. Tom widział, że kapitan się wierci, a po chwili wstaje. Z pewnością pułkownik nie chciał, by wyszli, lecz jego opór zgasł, gdy dłoń kobiety spoczęła mu na ramieniu. Zdażali już w stronę wyjścia, gdy Jim zauważył lotników przy stoliku w rogu. Zmienili więc kurs.

Z bliska Tom mógł zrewidować swoją ocenę. Była ładniejsza, niż mu się zrazu wydawało. Miała zapewne około trzydziestu pięciu lat, jej twarz była dojrzała, w kącikach oczu dostrzegł niewielkie kurze łapki. Obdarzyła szczerym uśmiechem wszystkich z wyjątkiem Billa Robinsona. Jego powitała szybkim buziakiem w kanciasty policzek. Gdy mówiła, jej niski głos pobrzmiwał nutami Południa.

– Dobrze cię znów zobaczyć, Bill. Jak rodzina?

– O ile wiem, Lee, w porządku. Sarah napisała, że miło spędziliście czas w Arlington, kiedy ostatniego miesiąca bawiliście w Waszyngtonie. Bardzo się cieszę,

a ona nie mniej, bo mogła usłyszeć od naocznych świadków, że mój czarny tyłek jest wciąż w jednym kawałku. Dzięki, złotko. Jestem twoim dłużnikiem.

Ścisnęła go za rękę.

– To nic w porównaniu z moimi długami wobec ciebie – rzekła miękko. – Ten tutaj pułkownik Robinson wyprowadził mego najlepszego i jedyne go szwagra spod ostrzału, gdy parę miesięcy temu jego obóz dostał się niemal w ręce nieprzyjaciela – zwróciła się do pozostałych siedzących przy stoliku. – Wystartował w środku monsunu, by poprowadzić myśliwce.

– Hej! – przerwał jej Bill. – To moja praca. – Wydawał się szczerze zakłopotany poświęcaną mu uwagą. – Pozwól, że przedstawię cię tym, których nie znasz. Młodego Gary’ego już spotkałaś. Poznaj zatem kapitana Franka Godneau oraz majora Toma Brooksa. Panowie, to jest Lee Roget. – Wymówił to jak „Ro-Szej”. – Lee, Tom będzie wysuniętym kontrolerem na przyładku Cau Mau i w paru innych miejscach. Właśnie przyjechał, więc jeszcze trochę tu pobędzie.

Spojrzenie zielonych oczu spoczęło na Tomie. Nagle uświadomił sobie, że mundur lotniczy ma przesiąknięty potem. Jej ubranie również było brudne, ale twarz była sucha. Jezu! Czy był jedynym człowiekiem w Delcie, który się poci? Ręka, którą mu podała, była drobna i miała krótko przycięte paznokcie. Bardzo zadbana dłoń. Jej oczy błędziły po jego twarzy, próbując ją chyba zaklasyfikować. Poczul lekki dreszcz. Stropiony, puścił jej rękę, którą trzymał, jak się okazało – także po przywitaniu.

Uśmiechnęła się jakby mocniej i odwróciła do Jima Christiana:

– Odprowadź mnie lepiej do mojego kompleksu. Wyruszasz wcześniej rano – odwróciła się do stołu. – Miło było was poznać i znów zobaczyć Gary’ego. Nie cierpię się wyłamywać, ale Jim pożyczył dżipa wraz ze strażnikiem, by odwieźć mnie bezpiecznie do domu. Naprawdę potrzebuje odpoczynku. Jeszcze się zobaczymy.

Tom patrzył, jak odchodzili, po czym zrobiło mu się głupio, gdy się zorientował, że był jedyną osobą, która nie usiadła. Bill uśmiechnął się do niego, ale nic nie powiedział.